CENA 30 GR.

NARÓD i PAŃSTWO
TYGODNIK

ROK I. WARSZAWA, 19 LIPCA 1936 R. NR. 24

W okresie równowagi niestałej

Na czem polega w stosunkach politycznych Europy istota doniosłej zmiany, uzewnętrznionej w zeszłotygodniowem opublikowaniu zasad porozumienia niemiecko-austrjackiego, w duchu przyjaznej odtąd kollaboracji „dwóch państw niemieckich"?

Czy jest to załatwienie sprawy anschlussu, a przynajmniej sprawy austrjackiej w Europie? A jeśli tak, to w jakim duchu? Zwycięstwa tezy niemieckiej, czy tezy austrjacko-włoskiej? Porozumienie jest realizacją Anschlussu, czy rezygnacją Niemiec z dążenia do tej realizacji? Odpowiedzi na powyższe pytania dalekie są od jednozgodności.

I nic dziwnego. Jak zwykle w warunkach porozumienia, zawieranego bez zewnętrznego przymusu, niema tutaj czynnika zdecydowanego zwycięstwa jednej tezy, interesu jednej z układających się stron. Przedewszystkiem porozumienie to nie jest zlikwidowaniem sprawy Anschlussu, jest tylko odroczeniem tej sprawy, przy równoczesnem pozostawieniu na najbliższy okres warunków pewnej swobodnej gry sił, pchających w kierunku Anschlussu i przeciwstawiających się Anschlussowi. Z punktu widzenia doraźnej rezygnacji można w tem widzieć podkreślenie niepowodzenia usilnych dążeń niemieckich kilku lat ostatnich do natychmiastowego osiągnięcia celu. Z punktu widzenia przyszłości — trzeba pamiętać, że o samodzielność polityczną Austrji przeciwko hitlerowskim Niemcom walczy dziś najsilniej pokolenie ludzi starszych, wychowane jeszcze w tradycjach dawnej przedwojennej Austrji, natomiast teza jednolitości państwowej Narodu niemieckiego znajduje oparcie przedewszystkiem o pokolenie młodzieży austrjackiej. Stąd pozostawienie swobody rozwoju sił może być w ostatecznym wyniku znacznie bardziej wygodne dla czynnika niemiecko-hitlerowskiego, niżeli dla kół, stojących na gruncie państwowej niezależności Austrji. Bo w interesie jednolitych Niemiec leży nietylko dokonanie Anschlussu, ale i dokonanie go z całkowitą wolą i zgodą niemieckiego społeczeństwa Austrji. Tej możliwości dzisiejsze porozumienie nie wyłącza i jej na dłuższą metę nie przeciwdziała. Anschluss formalny i faktyczny znika z pola widzenia celów politycznych Rzeszy Niemieckiej w roku 1936, nie znaczy to jednak, by zniknął on z pola widzenia zasadniczych celów Niemiec stosunkowo bliskiego okresu.

Lecz jeśli tak — to jakaż w tem wszystkiem jest rola tego trzeciego czynnika porozumienia, czynnika niejako błogosławiącego obu pogodzonych partnerów na nową drogę przyjaznego współżycia — Włoch. Czy Włochy, ściślej mówiąc czy Mussolini, nie zdają sobie sprawy, że w ten sposób zagadnienie Anschlussu wprowadza się tylko na inną, lecz bodajże w ostatecznym wyniku niebezpieczniejszą drogę, niżeli dotychczasowe dążenia Rzeszy, realizowane przy zdecydowanym oporze zarówno dzisiejszych czynników kierowniczych Austrji, jak przedewszystkiem Włoch.

Włochy Mussoliniego prowadzą politykę w całem tego słowa znaczeniu trzeźwą i realną, a równocześnie giętką i zdolną do raptownych skrętów i dostosowania się do warunków. Zawcześnie byłoby dzisiaj zastanawiać się, jaki będzie stosunek tej polityki do zagadnienia Anschlussu, o ile w pewnym momencie stanie on przed Europą w nowym kształcie, jako wyraz jednolitej woli i porozumienia „państw niemieckich". W danym momencie, widać, Włochom niewygodna była rola „żandarma Europy na Brennerze", potrzebne im było, na czas krótszy, czy dłuższy, uwolnienie się od tej roli dla rozegrania partji politycznej na innym odcinku swych interesów państwowych w Europie.

Jakaż to może być partja? Jakież mogą być cele, które chce polityka włoska w danej chwili osiągnąć i dla których godzi się z faktem, że Austrja dzisiejsza, dotychczas lojalny kontrahent Włoch, obecnie z natury rzeczy będzie musiała w znacznie wyższym stopniu liczyć się z interesami „drugiego państwa narodu niemieckiego", Rzeszy?

Pierwotne komentarze w tej sprawie brzmiały naogół dość niepokojąco, szczególnie z punktu widzenia interesów pokoju Europy. Naogół podchodzono do zagadnienia z tezą nadmiernie uproszczoną: tendencji Włoch do wytworzenia silnego bloku rewizjonistycznego, którego podstawą byłoby porozumienie włosko-niemieckie, a celem musiałaby być z natury rzeczy nowa wojna europejska.

Lecz czy istotnie Włochy są tak bardzo zainteresowane w tej nowej wojnie, a szczególnie w wytworzeniu nowego układu sił europejskich, dającego z natury rzeczy niezmierne wzmocnienie sytuacji niemieckiej? Niema podstaw realnych do upierania się przy odpowiedzi twierdzącej. Przeciwnie, dzisiejszy układ sił europejskich zdaje się stawać dla Włoch coraz bardziej wygodny. To też w motywach ich postępowania raczej należy szukać tendencyj do wygrania i wyzyskania wygodnych dla nich stron tego układu, niżeli tendencyj do gwałtownego i radykalnego zastąpienia go przez układ inny. A równocześnie pamiętać należy, że Włochy same są obecnie w sytuacji dosyć skomplikowa-

nej i że przetrawienie owoców zwycięstwa w Abisynji wymaga pewnego okresu spokoju, który najłatwiej mogą uzyskać przez czasową przynajmniej rezygnację z dotychczasowego, nieustającego patrolowania na Brennerze. I tutaj — bodajże — istnieje dosyć argumentów, uzasadniających zgodę dzisiejszą Włoch na oddanie Austrji pod pokojową penetrację Niemiec, co nie koniecznie musi być rozumiane, jako przejaw nagłego przypływu sentymentu dla państwa kanclerza Hitlera.

Powiedzieliśmy wyżej, że obecna sytuacja polityczna w Europie jest dla Włoch dosyć wygodna i że pozwala ona im na próbę realizowania ich celów politycznych. Jakież mogą być te cele najbliższego okresu i jakież wnioski można z nich wysnuć dla sytuacji europejskiej, a stąd — w następstwie — i dla zadań polskiej polityki zagranicznej najbliższego okresu.

Dążenia włoskie w chwili obecnej zdają się iść przedewszystkiem w dwóch kierunkach: 1) wyzyskania dotychczasowego zwycięstwa w Afryce dla celów równoczesnego wzmocnienia i utrwalenia swej pozycji głównego gospodarza na Morzu Śródziemnem, 2) wysunięcia się w polityce kontynentalnej Europy na czoło, przez przejęcie z rąk Francji inicjatywy politycznej, a może nawet i częściowej sfery dotychczasowych wpływów francuskich w Europie środkowej i wschodniej.

Oba te cele w danym momencie zbliżają politycznie Włochy ku pewnej kooperacji z Niemcami. Jednakże celem tej kooperacji jest rozegranie określonej kampanji. Kampanja ta może być rozgrywana w sposób bardzo rozmaity i może pociągnąć za sobą różne i skomplikowane przesunięcia w polityce europejskiej. Jedyny wniosek pewny, to ten, że wchodzimy obecnie w okres równowagi wybitnie niestałej. Niestałość ta pochodzi przedewszystkiem stąd, że przegranie faktyczne sprawy abisyńskiej przez Anglję, przy mniej więcej równoczesnem przegraniu sprawy obsadzenia przez wojska niemieckie strefy Renu przez Francję — podważyło w wysokim stopniu dotychczasowy układ stosunków, opierający się — z pewnemi zastrzeżeniami — na decydującym wpływie porozumienia angielsko-francuskiego na całość stosunków europejskich. W interesie Włoch leży nietylko przypieczętowanie tego faktu, ale i wyzyskanie w obu wyżej wymienionych kierunkach, to jest umocnienia się zarówno na Morzu Śródziemnem (przeciwko Anglji), jak i w całości stosunków politycznych Europy (przeciwko Francji). Doświadczenia roku ostatniego były tego rodzaju, że Mussolini może mieć uzasadnioną nadzieję, że im bardziej skomplikuje stosunki europejskie, tem łatwiej osiągnie zamierzone cele. Liczy on przedewszystkiem na wygranie tego samego czynnika, który dał mu zwycięstwo nietylko w Afryce, ale i w Genewie, zaś Hitlerowi w sprawie Nadrenji — to jest na przewagę świadomej i planowo skierowanej woli, będącej — jak często w historji— ważniejszym czynnikiem działania, niżeli faktyczna przewaga sił i możliwości politycznych.

W tej sytuacji jak mogą się zachować obaj współpartnerzy, przeciwko którym kieruje się akcja polityczna (bo o taką tylko w danym momencie zdaje się chodzić) Włoch i Mussoliniego, to jest Anglja i Francja. Anglja ma większą swobodę wyboru metod działania. Może ona przedewszystkiem odpowiedzieć Mussoliniemu jego własną bronią, to jest zaszachowaniem groźbą porozumienia się z Niemcami. Francja jest w sytuacji trudniejszej. Właściwie najprostszem z jej strony działaniem byłaby próba porozumienia się z Włochami za cenę częściowej rezygnacji z dotychczasowej hegemonji politycznej Francji na kontynencie europejskim. To rozwiązanie jest jednak w chwili obecnej poważnie utrudnione i skomplikowane przez zdecydowanie odmienne nastawienia społeczno-ustrojowe obu państw i przez trudność realizacji programu porozumienia z faszystowskiemi Włochami dla antyfaszystowskiego reżimu we Francji.. Wyjście radykalnie odmienne, to jest zacieśnianie dotychczasowego sojuszu z Rosją Sowiecką na płaszczyźnie antyfaszystowskiego porozumienia przeciwko Niemcom i Włochom, jest w skutkach swych dość niebezpieczne, gdyż w konsekwencji prowadzi właśnie do ustalania w Europie wyraźnego frontu wojennego państw rewizjonistycznych i antyrewizjonistycznych, co bynajmniej nie leży w intencjach i w interesie polityki francuskiej. W rezultacie Francja niejako może być zmuszona do posługiwania się przez czas pewien podobną metodą działania, jaką Włochy wybierają dla siebie planowo, to jest metodą dosyć swobodnego ustosunkowywania się do wytworzonych sytuacyj, przyczem jednakże zachodzi tu pomiędzy obu państwami tego rodzaju różnica sytuacji, że Włochy mają nadzieję na swojej grze zarobić przynajmniej poważne wzmocnienie swej sytuacji politycznej — Francja może wyjść z tej gry raczej politycznie osłabiona. Punkt ciężkości leżałby w odpowiedzi na pytanie: Jeśli Francja ma pogodzić się z osłabieniem swej roli politycznej, to na dobro czyjego rachunku wolałaby zapisać równowartość swej straty: hitlerowskich Niemiec, czy faszystowskich Włoch? — Mussolini zdaje się być przekonany, a zapewne nie bezzasadnie, że jednak na dobro faszystowskich Włoch. I to może być jeden z czynników, dodających mu ochoty do prowadzenia pozornie bardzo ryzykownej gry w sprawie Anschlussu.

Skomplikowanie i tak już bardzo niewyraźnej sytuacji europejskiej przez ostatnie posunięcia Włoch dotyczy, jak z tego widać, głównego nurtu polityki naszego kontynentu i musi być rozpatrywane przedewszystkiem z punktu widzenia całości tego nurtu. Jednakże nie znaczy to, by nie miało ono zupełnie podstawowego znaczenia również i z punktu widzenia poszczególnych, nieco bardziej bocznych, ramion i odnóg. Przedewszystkiem dotyczy to Czechosłowacji, która — wobec prawdopodobnej jednolitości polityki zagranicznej obu „państw niemieckich" — znajduje się już dziś w tej sytuacji, że — poza drobnym skrawkiem granicy czesko-rumuńskiej — jedynie granica czesko-polska może być dla państwa Czesko-słowackiego w odpowiednich warunkach granicą w ścisłem tego słowa znaczeniu pokojową. Fakt ten może nie pozostać bez pewnych następstw dla całości układu stosunku wzajemnego Polski i Czechosłowacji, a w każdym razie powinien być przez politykę zarówno czeską, jak polską, starannie zauważony.

Jeśli chodzi o Polskę, podobnie zresztą jak i o państwa Małej Ententy, poza Czechosłowacją, to sprawa porozumienia austrjacko-niemieckiego pod nieco przymusowem błogosławieństwem Włoch — niema dla nich tak bezpośredniego i ostrego znaczenia, jak dla Czechosłowacji. Niemniej jednak znaczenie to nie może być ani zapoznawane, ani lekceważone. Leży ono już choćby w samym zasadniczym fakcie niestałości dzisiejszej równowagi politycznej Europy, w fakcie pewnego przesuwania się ośrodka wpływu politycznego z Francji, z którą wszystkie te państwa miały wyraźny stosunek sojuszniczy, na Włochy, pozostawiające sobie zapewne na dłuższy czas swobodę gry wielostronnej i niezwiązanej, wreszcie w fakcie, że przy wszelkich tego rodzaju sytuacjach, jak dotąd, czynnikiem, który wzmacniał swoją pozycję kosztem pozycji Francji były nietylko i nietyle Włochy, ile Niemcy. A to już w żadnym razie dla Polski obojętne być nie może.

I tutaj dochodzimy do punktu najważniejszego. Jaka w epoce dzisiejszej nieustalonej równowagi sił europejskich może i powinna być linja polityczna Polski? — Jednakże sprawa ta wymaga omówienia dłuższego, niżeli pozwalają na to ramy obecnego artykułu, poświęconego ogólnej charakterystyce sytuacji politycznej Europy. Stąd też do sprawy tej powrócimy w następnym numerze.

Inż. Fr. Sarnek

Integracja zbiorowości

Czyżby nie należało uznać wystąpienia ostrego kryzysu gospodarczego w Polsce za objaw o doniosłem i dodatniem znaczeniu dla jej dynamiki rozwojowej? Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że klęska nędzy, zalewająca tereny naszego państwa, staje się dla zespołu zbiorowości polskiej owym klasycznym ogniem, w którym hartuje się charakter narodu. Niedobrze jest, gdy ludziom zbyt łatwo wszystko w ręce idzie: niezasłużone powodzenie zaraża próchnicą ich odporność i przytępia zmysł czujności, stanowiący niezbędną instalację alarmową dla każdego normalnie funkcjonującego organizmu. A właśnie zbiorowości naszej szczęśliwa passa poczęła szumieć w głowach. Należy tu przypomnieć, że niezależność polityczna państwa została zaskoczonemu narodowi przyniesiona w darze przez nieliczną grupę szczęśliwych romantyków z pod znaku Piłsudskiego. Był to prezent królewski, ale jednak tylko prezent przez tę zbiorowość nietylko nie zasłużony, ale nawet w istocie rzeczy niedoceniony; dla większości tylko wielka wygrana na loterji dziejów. Zapomina się wszakże, że na tę loterję trzeba było wykupić krwawy los...

Jeżeli tę rzecz przypominamy, to jedynie dlatego, aby stwierdzić, że do tej pory zbiorowość polska nie miała właściwie sposobności zdać wielkiego egzaminu pełnej dojrzałości narodowej. Wszakże i w roku 1920 do twardej próby hartu na frontach bitewnych nie udało się jej bez reszty zmobilizować. Ta nieruchliwość rozsypliwej masy nieskoordynowanego narodu musiała się kiedyś skończyć. Dlatego więc wyznajemy, że w ponure dni, gdy każdego Polaka w jego własnem, zabitem deskami gnieździe dościgło żądło nędzy, ze wzruszeniem oczekujemy potężnej reakcji z dna mas narodowych. I znowuż nie mówimy o łatwej i hałaśliwej ruchawce, radującej serca klasycznych wodzów ludowych, którym się wtedy marzą fotele prezydjalne, lecz o twardym porywie do samozaradnej i naprawdę twórczej pracy.

To trzeba jasno sobie powiedzieć, że Polska przez przeciąg swych dziejów najczęściej pracowała dla drugich, uwodzona zawsze dźwięcznością wielkich haseł o obronie cywilizacji i przedmurzu chrześcijaństwa. Dla siebie ten dziwny kraj niczego zrobić nie zdążył. A kiedy to warowanie na cudzym progu weszło w niepotrzebny i wygodny nałóg i stało się formułką kryjącą własne nieróbstwo, właśnie pod jego osłoną wyrosłe reprezentacje trzech różnych odmian chrześcijaństwa, protestanckie Niemcy, prawosławna Rosja i katolicka Austrja nikomu nie przydatny i zawadzający na drodze przedmurek między siebie spokojnie rozparcelowały. Nikt się jakoś w bronionej Europie tą parcelacją zbytnio nie przejmował.

Skoro zaś tylko świt wolności zaświecił nad zrujnowaną ziemią polską, natychmiast zameldowały się uwodliwe cienie. Znowuż obrona cywilizacji i znowuż barjery, pomosty i przedmurki. Rycerz w podartym mundurze, który ma znowuż pilnować wierną strażą, by cywilizowanej Europie rosyjski chłop krzywdy nie uczynił. Samoofiarność wielkiej duszy polskiej. Odwieczne wysługiwanie wszystkim cudzym bogom na szerokim świecie: Rzymowi i Paryżowi, Marksowi i jego kapitalistycznym karykaturom, takiej i innej jeszcze międzynarodówce.

Na szczęście jednak, jak uderzenie pięścią między oczy, przyszedł na kraj ciężki kryzys gospodarczy. Rzeczą tego zbawczego kryzysu jest udowodnić naocznie altruistycznej duszy polskiej, że doraźna nędza jej narodu stąd przedewszystkiem płynie, iż cywilizowana Europa nowy przedmurek najcyniczniej porzuciła w nagiem polu, zatrzaskując szczelnie wszystkie wejścia na swoje podwórza. Z drugiej zaś strony w tem opuszczeniu ujrzy dusza polska nareszcie jaskrawość wielkiej prawdy o konieczności przedewszystkiem radzenia sobie. Pozna może wadliwość swojej struktury gospodarczej, swego paradoksalnego układu społecznego, niebezpieczeństwo zaśmiecenia swego terytorjum konsekwencjami polityki ustrojowej niedawnych jego władców. Rozpoznanie choroby jest połową jej wyleczenia. Jeżeli więc dzięki kryzysowi uda się w Polsce postawić trafną djagnozę niedomagań konstrukcyjnych zbiorowości, to **muszą się znaleźć w masach społecznych siły zdolne do przeprowadzenia należnej i niezbędnej, chociażby była najtwardsza, kuracji.**

Tutaj więc leży cenność doświadczeń kryzysowych.

Dojmujący nacisk nędzy i groza wiszącej nad narodem katastrofy powinny zbudzić każdą iskrę energji obronnej we wszystkich ugrupowaniach zbiorowości. Nadszedł niewątpliwie czas próby. W tych, zdawałoby się, nie do zniesienia latach, gdy coraz to niżej opadał poziom spożycia w kraju, coraz to więcej bezczynnych rąk nadarmo szukało suchego ułomka chleba, coraz to głębiej zapadała społeczność w mrok analfabetyzmu, coraz to gęściej pojawiały się znaki endemicznych chorób, **ludność cała znalazła się nakoniec na froncie walki o wielką przyszłość swojego zespołu.** W tem objawia się wielkość obecnie przeżywanych dni. Przecież nie w okresie płytkiej łatwizny z cudzej łaski zespolona siła wewnętrzna narodu może się przejawić — optimum jej krystalizacji przypada właśnie na okresy przełomów. Tem lepiej, że w miejsce obrazkowej manifestacji niebezpieczeństwa np. inwazyjnego, okres taki przyszedł dla Polski w postaci imperatywu wewnętrznej integracji w obliczu społecznej klęski. W ten sposób kraj uzyskuje możność ustawienia trwałych fundamentów swego własnego zrębu strukturalnego.

Oczywiście znowu nie wolno jest w Polsce rozumować w ten sposób, jak gdyby ów zrąb już był gotów. I to nietylko zrąb, lecz i cała jego nadbudowa. Pamiętać należy, że ekonomika jest nauką związaną z dziełami rąk ludzkich, a zatem czemś wybitnie zmiennem i elastycznem. Klasyczna ekonomika powstawała wewnątrz zbiorowości zmontowanych na systematycznie od długich wieków rozbudowywanej podwalinie gospodarczej — ekonomika taka nie daje się żywcem przenieść na tereny o sfałszowanej rozbieżnemi tendencjami strukturze, jak np. w Polsce. Podobnie bieg normalnych praw w czasie wojny ulega zawieszeniu. Polska jest zaś krajem znajdującym się par excellence w okresie koniecznej rekonstrukcji. Dopóki ta rekonstrukcja nie jest ukończoną, normalne przepisy wywoływać w niej muszą tylko zamęt. I to jest naturalnem. Cóżby mógł zdziałać dowódca armji, gdyby każdy właściciel gruntu mógł wnieść skuteczny protest przeciwko przecinaniu jego pola linją okopów? Zwolennicy klasycznej ekonomiki w zbiorowości osiadłej na nieskoordynowanych fundamentach strukturalnych stają na stanowisku owych protestujących posiadaczy gruntów.

Brak integracji strukturalnej w Polsce jest rzeczą nie ulegającą żadnej wątpliwości, jednostronność układu społeczno - gospodarczego zbiorowości polskiej jest dziś faktem stwierdzonym bezapelacyjnie, niedołudnienie grup pozarolniczych narodu nie jest dla nikogo tajemnicą, przyczyny tego stanu rzeczy też są niedwuznaczne i dostatecznie wyjaśnione: mimo to widzimy całe szeregi dyskutujących przyszłość Polski ludzi, którzy tych jasnych prawd uparcie starają się nie dostrzegać. Psychika tych ludzi wypełniona jest majakami wymgławionemi z fikcyjnych założeń. Realny kształt rzeczywistości wymyka się ich dostrzeganiu. Chcąc wszakże formułować dyrektywy **przyśpieszonej ewolucji,** która stanowić musi mechanizm nieuniknionych przemian w strukturze podłoża gospodarczego zbiorowości polskiej, musi się nietylko umieć operować metodą djalektyczną, ale i widzieć plastycznie zarówno niedorzeczność dzisiejszego rumowiska form, jak i skończony kształt rzeczy przyszłych.

Dzisiaj przed Polską otwiera się rzadka konjunktura dla swobodnego przestawienia swego wnętrza wedle swojej wygody. Nikt dzisiaj Polsce nie przeszkodzi w tej porządkującej pracy poprzez nawet przełamanie fragmentarycznych interesów izolowanych grupek elementów, stanowiących odgałęzienia obcych interwencji. Trzeba jednak mieć odwagę wejścia we front tej wspaniałej walki, której nie dożył Piłsudski. Trzeba nie odsuwać rozstrzygnięć w nieuchwytne dale i nie czekać cudzego znowuż zmiłowania.

Polska dzisiejsza stoi przed imperatywem dwu interesów: proletarjackiego interesu produkcji przemysłowej i chłopskiego interesu produkcji rolnej. Rezultat państwowy wynika ze szczęśliwego rozwiązania tego podwójnego imperatywu, jest jego logiczną konsekwencją. Nadrzędność państwowa, niezwiązana z rozwikłaniem tych zagadnień, przedstawia jedynie tymczasową ułudę. Przypadkowość obecnej struktury gospodarczej zbiorowości jest w tym względzie raczej szczęśliwą okolicznością, wzywającą twórczej interwencji polskiego porządkującego intelektu. Więc pracę tę trzeba zacząć odrazu, dziś, zanim nie porosną opaczne fragmenty zrębu przybudówkami, których likwidacja tylko niepotrzebnie skomplikuje proces przemiany.

Widzimy wzbierający napór podziemnych wód w tych nieforemnych rumowiskach kilku systemów kapitalistycznych, stanowiących dzisiejsze gospodarstwo polskie. Staramy się ten prymityw gospodarczy unowocześnić zanim ów napór nie zacznie łamać nieracjonalnych grobelek niby ochronnych, których już nie opłaci się sklejać nawet krwią.

Teofil Wrona

Zagadnienie służby pracy w Polsce

Znany jest powszechnie fakt, że klęska obecnego przewlekłego bezrobocia wywołuje szczególnie dotkliwe skutki gospodarcze i społeczne wśród dorastającej młodzieży. Praca bowiem w okresie dojrzewania fizycznego i duchowego człowieka odgrywa rolę podstawowego czynnika, kształtującego jego charakter i usprawniającego go do przyszłych zadań życiowych.

O ile więc walka z bezrobociem wśród dorosłych ma na celu przedewszystkiem potrzeby teraźniejsze — to zwalczanie bezrobocia wśród młodzieży wynika z głębokiej troski o przyszłą społeczną siłę Państwa. Wychodząc z tych przesłanek cały szereg państw rozpoczął akcję łagodzenia niszczących skutków bezrobocia wśród młodzieży na drodze tak zwanej służby pracy.

Służba pracy to nowa forma zatrudnienia dorastających roczników na robotach gospodarczo usprawiedliwionych, a więc nie stwarzających poważniejszej konkurencji na rynku pracy i w ostatecznym wyniku wychodzących na korzyść ogółu. Podstawowem założeniem służby pracy jest wychowanie młodego pokolenia, jako zasadnicze zaś czynniki procesu wychowawczego wysuwa się tu praca fizyczna i planowo zorganizowane współżycie kulturalne.

W Polsce po pierwszych udanych próbach, jak np. na Śląsku, powołano do życia instytucję społeczną pod nazwą Stowarzyszenie Opieki nad Niezatrudnioną Młodzieżą, które miało organizować ośrodki pracy na terenie całego Państwa. Stowarzyszenie, czerpiąc swoje fundusze z dotacyj państwowych, zatrudniło w roku 1934 około 9.000, a w lecie zaś 1935 r. — około 19.000 junaków na robotach publicznych samorządowych oraz we własnych warsztatach i osiedlach rolnych.

Utarło się powszechne mniemanie, że Stowarzyszenie nie zdało egzaminu, gdyż drużyny junackie nie stanęły na odpowiednim poziomie tak pod względem wyników pracy, jak i sprawności organizowania życia wychowawczego. Wynikiem takiego stanu rzeczy było rozwiązanie się Stowarzyszenia i przekazanie jego agend Funduszowi Pracy.

Nie odmawiając słuszności krytyce gospodarki Stowarzyszenia, trzeba stwierdzić, że krytyka ta miała często charakter zbyt jednostronny, a co gorsza godziła w same podstawy rozwojowe drużyn junackich. Opinja publiczna, zajmując nieprzychylne stanowisko wobec junactwa, nie uwzględniła olbrzymich trudności techniczno-organizacyjnych i metodyczno-wychowawczych, jakie w pierwszym okresie uruchamiania ośrodków pracy trzeba było pokonać. Brak było w tej dziedzinie jakichkolwiek doświadczeń, a przedewszystkiem fachowo wyszkolonych organizatorów, kierowników i wychowawców. Młodzież zaś wstępująca do ośrodków pracy stanowiła element bardzo trudny do prowadzenia i najbardziej społecznie zdemoralizowany. W takich warunkach trudno było uniknąć niedociągnięć, a nawet poważniejszych błędów. Dopiero w praktyce dnia codziennego mogły się wykształcić zczasem formy organizacyjne i zwiększać efekty gospodarcze i wychowawcze. Te wszystkie trudności nadawały akcji zatrudnienia bezrobotnej młodzieży w pierwszym okresie charakter laboratoryjny, po którym winna była nastąpić planowo zorganizowana i na szeroką skalę pomyślana rozbudowa służby pracy, będącej jednym z podstawowych czynników wielkiego procesu budowania gospodarczej niezależności Państwa. Stało się wprost przeciwnie, albowiem w drugim roku istnienia ośrodków pracy popełniono wielki błąd, który bardzo poważnie zaciążył na dalszym rozwoju akcji junackiej. Wielkim minusem było to, że nad całem zagadnieniem służby pracy w Polsce od samego początku zawisła groźba tymczasowości. Tymczasowy charakter ośrodków pracy był powodem, że akcja zatrudnienia młodzieży nigdy nie miała określonych form ani administracyjnych, ani gospodarczych.

Na dowód tego można przykładowo podać kilka faktów:

Plan zatrudnienia junactwa obejmował okres zaledwie kilku miesięcy i następowały w nim bardzo częste zmiany i przesunięcia, uzależnione zazwyczaj od lokalnych kierownictw robót. Wskutek takiego stanu rzeczy na porządku dziennym były wypadki, że drużyny zamiast pracować zmuszone były ustawicznie wędrować z miejsca na miejsce, podwyższając w ten sposób koszta administracyjne.

Te wszystkie rażące błędy były wynikiem nietylko winy Stowarzyszenia, lecz także brakiem koordynacji akcji junackiej z poszczególnemi resortami administracji państwowej i samorządowej.

Powyższe przykłady ilustrują fakt, że sprawa służby pracy na naszym terenie nawet w swoich skromnych rozmiarach nie została w sposób właściwy wmontowana w całość naszego życia społeczno-gospodarczego, a będąc tworem sztucznym — nie miała wielkich widoków rozwojowych na przyszłość. Nie znaczy to jednak, aby zagadnienie służby pracy nie miało w Polsce warunków istnienia. Wprost przeciwnie, chwila dzisiejsza wymaga zmobilizowania możliwie największej ilości sił ludzkich i wprzągnięcia ich do jednego na olbrzymią skalę zakrojonego procesu pracy, zdolnej nadrobić w krótkim czasie wszystkie nasze dotychczasowe zaniedbania gospodarcze. Czas najwyższy, aby nareszcie przystąpić do zlikwidowania niezrozumiałego paradoksu, że mając kilkaset tysięcy młodych i zdrowych rąk do pracy — równocześnie patrzymy z romantycznym zachwytem na płynącą dziko Wisłę, stoimy bezradnie wobec klęsk powodzi, nie wyprowadza nas z równowagi katastrofalny stan dróg, oraz zaniedbany wygląd naszych miast i miasteczek. Nie pomogą tu żadne handlowe kalkulacje i papierowe programy, trzeba ludzi użyć do twardej i zdyscyplinowanej roboty.

Najwłaściwszą formą uruchomienia na tej podstawie robót publicznych winno być należyte zorganizowanie służby pracy. Służba pracy, jeśli ma spełnić właściwą rolę gospodarczą i społeczną, musi mieć charakter powszechny i przymusowy. Państwo jest w chwili dzisiejszej całkowicie uprawnione domagać się od wszystkich obowiązku pracy dla dobra jego potęgi gospodarczej w równym stopniu jak obowiązku powszechnej służby wojskowej dla wzmocnienia obronności politycznej. Takie ujęcie akcji obozów pracy zmniejszy niewątpliwie poważny zarzut nierentowności drużyn junackich, gdyż kalkulacja kosztów nie będzie przeprowadzona pod kątem widzenia zarobków, lecz rzeczywistych efektów gospodarczych i wychowawczych, które będą procentować w przyszłości, a więc i sprawę bytowania młodego pokolenia postawią na innej płaszczyźnie.

W całokształcie akcji zatrudnienia młodzieży nie wolno lekceważyć takich czynników, jak zapał, entuzjazm i zdolność poświęcenia się dla drugich. Uruchomienie wielkich robót, przy których zatrudnione byłyby olbrzymie zespoły junackie, wywoła niezawodnie uczucie zapału i wiary w wartość zbiorowego wysiłku.

Akcja obozów pracy, ze względu na swój dynamiczny i ideowy charakter, może stać się jednym z podstawowych czynników przebudowy społeczno-gospodarczej Państwa. Wyczuwa się dziś powszechnie potrzebę zorganizowanego życia społecznego zwłaszcza na polu działalności gospodarczej. Pod tym względem powszechna służba pracy odegrać może rolę wzorowego przedszkola dla przyszłych obywateli, ucząc i przyzwyczajając młode pokolenie do racjonalnego współżycia i zaradności zbiorowej, rozwijając w niem dyscyplinę społeczną, szacunek i poczucie odpowiedzialności za wyniki wykonywanej pracy.

Nie można wreszcie pominąć milczeniem faktu, że służba pracy rozwija w ogromnym stopniu tężyznę fizyczną młodzieży, co ze ze względu na obronność kraju i żywotność społeczeństwa posiada wprost zasadnicze znaczenie. Dotychczasowe rezultaty w tej dziedzinie nie mogą nasuwać żadnych wątpliwości. Młodzież wstępująca do ochotniczych Drużyn Roboczych zwykle jest tak zabiedzona, że mdleje przy małym nawet wysiłku fizycznym. Zczasem stan ten zmienia się radykalnie. Wskutek unormowanego trybu życia następuje przyśpieszony proces rozwoju fizycznego junaków, czemu towarzyszy zwykle ogromne podnoszenie się wydajności pracy.

Ażeby akcja zatrudnienia młodzieży dała w Polsce należyte rezultaty społeczno-gospodarcze i stała się podstawowym czynnikiem ekonomicznej odbudowy kraju — musi spełniać następujące warunki:

a) posiadać charakter przymusowego obowiązku, któremu będą podlegać dorastające roczniki młodzieży w wieku przedpoborowym,

b) plan zatrudnienia młodzieży winien być zgóry opracowany i obejmować okres przynajmniej kilku lat,

c) Należy ująć służbę pracy w przemyślane i sprężyste ramy aparatu organizacyjnego i wychowawczego, a przedewszystkiem określić w sposób nie nasuwający żadnych wątpliwości stosunek obozów pra-

cy do technicznych kierownictw robót i gospodarczych działów administracji państwowej.

d) Równolegle z rozbudową armji pracy trzeba rozpocząć akcję wyszkoleniową sztabu kierowników, administratorów i wychowawców junactwa przez założenie specjalnych rocznych szkół kadrowych.

e) Należy stworzyć dla młodzieży dogodne warunki wyszkolenia ogólnego i zawodowego w czasie pobytu w obozach pracy.

f) Z akcją zatrudnienia młodzieży w obozach pracy ma łączyć się planowo pomyślana akcja udostępnienia dojścia do właściwej pracy zarobkowej dla tych roczników, które odbyły obowiązek służby pracy.

W całokształcie rozwiązywania zagadnienia ruchu junackiego należy wystrzegać się niebezpiecznej psychozy krótkofalowości i tymczasowości, jakie zaznaczają się we wszelkiem planowaniu i działaniu społeczno-wychowawczem w chwili obecnej. Żyjąc z dnia na dzień coraz mocniej związani wypadkami i trudnościami chwili bieżącej — zatracamy zdolność perspektywistycznego patrzenia i oceny wszelkich zjawisk życia zbiorowego. To właśnie nastawienie uzyskiwania natychmiastowych efektów najfatalniej odbiło się na dalszym rozwoju akcji junackiej.

Po ostrej kampanji przeciw Stowarzyszeniu Opieki nad Niezatrudnioną Młodzieżą, po potępieniu w czambuł wszystkiego, co ta instytucja zrobiła — obecnie poddaje się również krytyce akcje zatrudnienia młodzieży, prowadzoną przez Fundusz Pracy. Ostatnie dni przyniosły wiadomość o nowych projektach organizowania ruchu junackiego. Nie wypowiadając się na temat nieznanych dotąd zamierzeń w zakresie dalszego rozwoju służby pracy — należy przestrzec przed tem, aby nowi organizatorzy nie popełnili tego samego błędu, t. zn. znowu nie zepchnęli jej na margines naszego życia gospodarczego.

Obozy pracy, o ile mają spełnić swoje właściwe zadanie i nie nasuwać zastrzeżeń, muszą być akcją o szerokim oddechu i wielkim rozmachu. Dla młodzieży zaś muszą stwarzać dogodne warunki do wyładowania zapału i entuzjazmu, do pracy nad rozwojem potęgi państwa i wyrąbaniem drogi dla własnej, lepszej przyszłości.

J. R.

Czy słowacka irredenta?

Leży przed nami świeżo wyszła spod prasy w Bratysławie broszurka: „Nech súd i slovenska verejnosť". Jest to sprawozdanie z arcyciekawego, na kulisy życia politycznego Słowacji wiele światła rzucającego, a u nas zupełnie przemilczanego procesu szeregu działaczy słowackich, Pawliczki, Nemetha, Morhacza, Szomolanego i Dworskiego, oskarżonych o szereg przestępstw politycznych, oraz o współdziałanie z również oskarżonym, ale ze względów zdrowotnych wyłączonym z tego procesu, znanym działaczem dr. Ljudewitem Bazowskim.

Akt oskarżenia zarzucał im m. in. działanie przeciw Republice, zakłócenie porządku publicznego, wzywanie do czynów karygodnych — wszystko na podstawie głównie słynnej „ustawy o ochronie Republiki". Oczywiście pod temi prawniczemi określeniami rozumiało się że oskarżeni posądzeni są o organizowanie słowackiej „irredenty".

W toku procesu główny nacisk położony był na domniemane utworzenie w Bańskiej Bystrzycy, na zebraniu w kancelarji adwokackiej oskarżonego Pawliczki, 6 sierpnia 1933 r., ciała pod nazwą „Słowacka Rada Narodowa", której celem miało być „oderwanie Słowacji i przyłączenie jej do obcego państwa". To był główny atut oskarżenia.

Żeby zrozumieć tło, na którem mogło dojść do przytoczonych w trakcie procesu wydarzeń, trzeba nam się cofnąć do tych czasów, o 3 lata wstecz. Było to w czasie głośnej akcji, podjętej przez Węgrów za rewizją granic. Na terenie Genewy działał osławiony Jehliczka i niby w mandacie od Słowaków składał Lidze Narodów memorjały, domagające się rewizji granic na korzyść Węgrów. A równocześnie, mimo czeskich protestów przeciw rewizji granic, publicystka czeska (Peroutka) niedwuznacznie wyrażała pod adresem Węgrów propozycje rewizjonistyczne, dotyczące ziem słowackich. Słowacy uważali to wszystko za kupczenie ich ciałem i odczuwali brak tej swej reprezentacji, któraby na szalę wypadków rzuciła głos narodu słowackiego.

Koncepcję tej reprezentacji podjął się zrealizować stary i zasłużony patrjota, twórca przyłączenia Lučenca (na Słowacji połudn.-wschod.) do Czechosłowacji, ostatnio (do 1929 r.) działacz „Slovenskej Narodnej Strany", dr. Ljudewit Bazowski, zwołując na 6 sierpnia 1933 r. zebranie szeregu działaczy z okolicy, głównie z partyj „ludackiej" i „narodnej". Na zebraniu tem wyłożył program tymczasowego komitetu „Słowackiej Rady Narodowej" jako nadrzędnego nad partjami ciała, upoważnionego do występowania we wszelkich sprawach ogólno-narodowych szczególnej wagi.

Geneza idei tej Słowackiej Rady Narodowej jest zupełnie zrozumiała. Bazowski oceniał słabość dotychczasowych wysiłków słowackich, widział cały mikrokosmos swarów partyjnych i wzrastającą z jednej strony kampanję Węgrów o rewizję granic, z drugiej siłę żywiołu czeskiego — co wszystko groziło Słowakom, że się będzie „mówić o nich bez nich". Widział też niedostateczność i słabość pozycyj nawet t. zw. ugrupowań autonomistycznych z Hlinką na czele, ich zacietrzewienie partyjne. Nasunąć się więc musiało mu siłą myśl jakiegoś ciała, któreby miało mandat reprezentowania, wyrażania woli i opinji całego narodu słowackiego.

Koncepcja to oryginalna i niepozbawiona pewnej głębszej myśli. Nasuwa się tu pewna analogja z „Ligą Polską" z pierwszych lat jej istnienia (1887). Ale o ile „Liga Polska" miałaześrodkowywać wszelkie wysiłki niepodległościowe, o tyle Rada, projektowana przez Bazowskiego, miała za cel koordynację zewnętrznych wystąpień słowackich, pozostających w związku z walką o należne Słowakom prawa narodowe. Tem mniej analogji nasuwa się z naszym Rządem Narodowym w 1863 r., który był tajnym rządem, państwem w państwie, organizacją irredenty.

To, że Rada Słowacka Bazowskiego miała być tym „rządem w rządzie", organizacją irredenty, to właśnie usiłowali w trakcie sprawy imputować rzecznicy oskarżenia. Według nich Słowacka Rada Narodowa miała być tajnym rządem, przygotowującym przewrót i przejęcie władzy przez Słowaków. Ponadto oskarżono Bazowskiego i towarzyszy o łączność z akcją Jehliczki i jego wspólników, na dowód czego przytaczano zeznania niejakiego Mihalusa, człowieka zresztą b. podejrzanego, ongiś ajenta Jehliczki, a ostatnio pozostającego — jak się zdaje — na usługach policji czeskiej, który dość niejasne dawał wyjaśnienia o istniejących jakoby kontaktach dr. Bazowskiego z jego synem, wybitnie antyczeskim działaczem Piotrem. Przytaczano też wyjątki z różnych dowolnie wybranych enuncjacyj Bazowskiego i zestawiano je z artykułami Jehliczki, starając się udowodnić ich wzajemną łączność.

O ile więc momenty zarzucające oskarżonym łączność z Jehliczką, w trakcie procesu się nie utrzymały, o tyle wszechstronne oświetlenie znalazła sprawa tej tajemniczej „Rady Narodowej". Sami oskarżeni bynajmniej niczego się nie wypierali, a adwokaci, którzy się podjęli ich obrony, wskazywali, że w tym projekcie nie było nic, coby podpadało pod kategorję przestępstw przeciw państwu czy porządkowi publicznemu. Przedewszystkiem Słowacka Rada Narodowa nie została utworzona, była tylko zaprojektowana. Jej idea nie była niczem nowem — o utworzeniu podobnego ciała mówił poseł Onderczo w parlamencie praskim w maju 1933 r. Że zebranie było tajne? Ależ skąd! Tak było tylko napisane na zaproszeniach, aby wzbudzić większe zainteresowanie. Wszak odbyło się przy otwartych oknach od ulicy, naprzeciw siedziby Sądu Krajowego! Że jej celem miało być oderwanie części państwa? Ależ właśnie była skierowana przeciw akcji separatystycznej Jehliczki. A wszak nikt nie zabroni Słowakom domagać się autonomji, zagwarantowanej umową Pittsbourghską, podpisaną przez... Masaryka!

Jeden moment arcyciekawy, poruszony jeszcze w ciągu procesu, to projekt dr. Pawliczki, aby zwołać kongres ogólnonarodowy, mający być wyrazem woli całej Słowacji. Kongres taki miał być zwołany na jesień 1933 r., w 15-tą rocznicę deklaracji świętomarcińskiej (o przyłączeniu Słowacji do Czecho-Słowacji) i uchwaliłby rezolucje, np. rewizji deklaracji świętomarcińskiej. (Nawiasem mówiąc ten sposób wyrażania opinji i wykazania siły nie jest pozbawiony analogji ze stosunkami polskiemi i to b. świeżej daty...). Oczywiście prokurator usiłował nadać temu projektowi rewolucyjną markę, wiążąc go z plebiscytowemi projektami hr. Bethlena i t. d. Ba, nawet z niewinnego projektu założenia w Bańskiej Bystrzycy pisma p. t. „Sebestacznost" („Samodzielność"), chciano uczynić płaszczyk, za którym kryła się „groźna dla całości Republiki" działalność słowackiej irredentystycznej „Rady Narodowej". Obrońcy oskarżonych wskazywali, że nie działalność dr. Bazowskiego czy towarzyszy była przestępstwem, ale nawoływanie do dzielenia Republiki przez czeskich publicystów à la Peroutka, i oni, jako sprawcy tych nastrojów, winni tu siedzieć na ławie oskarżonych.

Ostatecznie, główni oskarżeni, Pawliczka i Németh skazani zostali na 1 rok więzienia, pozostali uniewinnieni. Ale ten wyrok nie przerwie walki Słowaków o swoje prawa, tej walki, której kulisy odsłonił proces towarzyszy d-ra Bazowskiego. Uwidocznił on nurtujący w szeregach patrjotycznych słowackich głód jakichś nowych form, jakiejś zmian — ten głód, który trawi i starych działaczy, jak dr. Bazowski i szeregi młodzieży spod znaku „Nastupu", co się uwidacznia w ich opozycji wobec „starych", w ich radykalizmie.

Artykuł dyskusyjny

Adam Uziembło

Zagadnienie przebudowy

Nawiązuję do dwuch artykułów, jakie się ukazały w N-rze 21 „Narodu i Państwa". Jeden — d-ra Korpały, drugi p. Kowalczyka. Jeden w najogólniejszych zarysach wykazujący warunki przebudowy społecznej, — drugi, zdążający ku zastosowaniu pewnych zasad przebudowy do zagadnienia unarodowienia przemysłu na Górnym Śląsku. Rozszerzam świadomie temat p. Kowalczyka, który właściwie podniósł jedynie sprawę „Wspólnoty Interesów". Nie sądzę jednak, bym poszedł wbrew intencjom Autora, metoda bowiem użyta na jednym odcinku, gdyby tylko dała wyniki dodatnie — może być przyjęta i gdzie indziej.

Dr. Korpała — przypominamy — uznając konieczność wielkich przeobrażeń, podnosi nieodzowność stworzenia warunków psychicznych. Nie można wejść do czegoś nowego, dźwigając cały balast starzyzny. Treść życia nie zależy jedynie od kształtów zewnętrznych, ale od ducha, jaki w te kształty wetchnąć zdołamy. I dalej przykład: gdy powstała myśl walki o Polskę, jako coś rzeczywistego, młodzież poczęła się do tej walki sposobić. Niesłychane wysiłki wydobywała z siebie każda jednostka, by przeobrazić się wewnętrznie, by przystosować swój ustrój duchowy do walki i do twórczości zupełnie nowej. Więc jeżeli dziś mówimy o nowym ładzie, musimy dokonać na sobie podobnej pracy...

A jeszcze dalej powiada dr. Korpała, że przecie sprawa przebudowy — to zagadnienie obronności Rzeczypospolitej — to — tak przynajmniej go rozumiem — sprawa jej niepodległości.

A więc z jednej strony postulat ten domaga się przeobrażenia wewnętrznego, wychowania do nowych form życia. Z drugiej to sprawa pilna, nie cierpiąca zwłoki, to coś, co stoi przed nami, coś, co sami ziszczać musimy — już!

Czy w tem jest sprzeczność? — Nie! — twierdzimy.

Bo wychować społeczeństwo, wychować pokolenie — to bynajmniej nie wieki, ani lat dziesiątki. Związek Walki Czynnej powstaje w roku 1907-ym. A już w kilka lat potem znaczną część naszego antymilitarystycznego społeczeństwa ogarnięta jest tęsknotą do walki zbrojnej — nowe pokolenie młodzieży poczyna iścić sen o rycerskiej szpadzie.

A jeżeli komu i to nie wystarcza — to zapytamy, co zrobił Mussolini z narodem lazzaronów w ciągu kilkunastu lat?

Zagadnienie nastawienia wychowania społeczeństwa w pewnym kierunku rozwiązane może być szybko. Jeżeli potem praca w kierunku wskazanym idzie stała, nieustępliwa, uparta i wytrwała i daje wyniki widoczne — wychowanie się pogłębia z każdym dniem, przenika coraz szerzej, przetwarza coraz gruntowniej duszę jednostek i narodu.

I właśnie tego rodzaju pojmowanie stanowiska d-ra Korpały pozwala nam połączyć jego rozumowanie z pragnieniem wcielenia w życie zasad nowego bytowania, jakie znajdujemy u p. Kowalczyka, który ma szlachetną odwagę nie poprzestawać na hasłach, lecz kreślić plan urzeczywistniania stopniowego zasad sprawiedliwości społecznej na obszarze, gdzie stosunki są tak straszliwie i szkodliwie dla naszego życia powikłane — na Górnym Śląsku.

I sama ta próba już zasługuje na wyrazy wysokiego uznania, i dlatego warto ją rozważyć bardziej szczegółowo.

P. Kowalczyk stwierdza, że niedługo, według wszelkiego prawdopodobieństwa, olbrzymie zrzeszenie przemysłowe, „Wspólnota Interesów", przejdzie na własność Rzeczypospolitej, jak przeszło już wiele innych przedsiębiorstw, jak przechodzą coraz to nowe, jak zdążają do przejścia — stwierdził to bardzo mocno p. w.-premjer Kwiatkowski — inne. Co z niemi zrobić? Co uczynić w szczególności z takiem kompleksami jak „Wspólnota", która przecież ma zatrudniać około 20 tys. robotników w hutach, kopalniach i t. p.

P. Kowalczyk proponuje uczynić to wszystko własnością narodową. Państwo winno zachować sobie tylko część udziałów, gdyż jest w ciężkim przemyśle zainteresowane. Część drugą powinno, w postaci akcji, przekazać pracownikom przedsiębiorstwa, by byli jego wspólnikami. Wreszcie jeszcze dalszą część akcyj należy rozszerzyć pomiędzy szerokie warstwy społeczne. Jak dziś się daje ludziom w rękę pożyczkę — tak można im dać akcje na długie spłaty. Przedsiębiorstwo będzie własnością społeczeństwa.

Autor nie chce etatyzacji. Gotowiśmy się jej wyrzec. Nie sądzę, by biurokracja państwowa w przemyśle była czemś gorszem od biurokracji dyrekcyjno-akcyjnej, a więc jeszcze bardziej anonimowej i jeszcze mniej odpowiedzialnej, a nadewszystko nieraz zupełnie oszukańczej. Jednak zgadzamy się z autorem, że nie chodzi o zastąpienie jednej biurokracji przez drugą, ale o możliwe jej usunięcie z przemysłu. Nie o upaństwowienie tego przemysłu, ale o uspołecznienie go nam chodzić winno. Ale czy plan Autora do tego zmierza? Sądzimy, że niezupełnie. Poszedł on po linji daleko idącego uproszczenia — a życie uproszczeń nie znosi.

Za pomocą czego ma być związane przedsiębiorstwo ze społeczeństwem? Za pomocą kapitału. Więcej więzów niema w jego planie. Co gorsza — ta więź jest niesłychanie słaba. Akcyjny kapitał jest rozdrobniony, pozostaje w rękach ludzi, którzy przy lada sposobności gotowi się wyzbyć udziałów i te mogą sobie wędrować z rąk do rąk. Posiadacze akcyj w zarządzie mają udział nikły, albo i wcale nie mają. Daje to olbrzymią przewagę dyrekcji, która będzie gospodarzyła kapitałem — prawie niczyim. Tytuł własności przy rozdrobnionym kapitale nieokreślony, niepewny — większości na zebraniach akcjonarjuszy przypadkowe... Nie! To nie jest odpowiednia droga. Jeżeli mamy tworzyć plan, to przemyślmy go należycie, przestudjujmy i doprowadźmy do tego, by przedsiębiorstwo stało się naprawdę społeczne, by wiązało ze sobą ludzi i instytucje, by wytwarzało pomiędzy niemi spójnię istotną.

I przedewszystkiem musimy sobie powiedzieć, że dotychczas żaden kompleks przemysłowy nie stanowi całości zamkniętej i odpowiadającej jakimś jednolitym założeniom gospodarczym. Naprzykład szereg przedsiębiorstw „Wspólnoty Interesów" powiązała tylko jedna myśl — myśl o zysku, myśl o obcinaniu kuponów. Poszczególne jej człony pracują dla różnych spożywców, dla różnych odbiorców, dla zadośćczynienia różnym potrzebom. I niema żadnej racji utrzymywać jedność w tym zlepku kapitalistycznych warsztatów. Gdy mowa o planie postępowania z niemi, należy je rozbić na człony i o każdym z członów pomyśleć z osobna.

Bierzemy naprzykład kopalnię węgla. Według kapitalisty ma ona wydobywać czarne djamenty i sprzedawać. Sprzedawać — wszystko jedno jak i gdzie. Byle sprzedać. Sprzedaż to sprawa handlowego działu, który będzie zabiegał o to, by znalazł się nabywca. Przedsiębiorstwo społeczne rozstrzyga sprawę inaczej.

Weźmy przykład żywy dla uzmysłowienia faktu. Oto powstaje przetwórnia ryb w Gdyni. Potrzebują konserw liczne rzesze spożywców, zjednoczonych w „Społem". Potrzebują przetwórni rybacy, jako ci, co muszą zbywać swe połowy. Sprawa jej ma pierwszorzędne znaczenie dla pracowników samego zakładu. Powstaje zatem przedsiębiorstwo mieszane, będące własnością z jednej strony spożywców, z drugiej pracowników, ujętych w osobną organizację spółdzielczo-wytwórczą. Gdy brak na razie zrzeszonej gromady rybackiej, miejsce ich zastępczo obejmuje bank „Społem", aby z czasem, gdy poławiacze się zorganizują, przekazać im tytuł własności.

Otóż to samo może być zastosowane do kopalni. Dla kogo ma ona wydobywać węgiel? Czy dla spożywców tak czy inaczej zrzeszonych? Czy dla fabryk państwowych? Czy dla kolei? Czy dla przedsiębiorstw komunalnych? Zależnie od odpowiedzi na te pytania tworzymy zespół odbiorców, którego zadaniem jest określić potrzeby, ich czas, wielkość, jakość. I to będzie jedna część udziałów.

Druga część przypadnie pracy. Ale nie będzie to jednolita grupa. Nie, może to być cały związek spółdzielni pracowników górniczych, mechaników, administratorów. Jedne z tych spółdzielni obejmowałyby kopalnie, inne zwożenie, jeszcze inne — poszczególne działy pracy. Będą i takie spółdzielnie, które część swych członków delegują do przedsiębiorstwa (buchalterów, kasjerów), obejmując za nich porękę i kontrolę nad ich czynnością, umieszczając gdzieindziej innych członków.

Bynajmniej nie chodzi o to, by tworzyć duże spółdzielnie. Nie — niech każda będzie niewielka, byle doskonale panowała nad działem pracy sobie powierzonym.

Czy wchodzą w grę jakieś inne jeszcze interesy? Może czynnik publiczny? Może samorząd lokalny, wojewódzki — może nawet interesy Rzeczypospolitej? I to będzie trzecia grupa udziałowców, reprezentowana bądź bezpośrednio, bądź za pośrednictwem instytucyj finansowych. Nie będziemy się wdawali w to, czy udział czynnika publicznego konieczny będzie ze stanowiska obronności Rzeczypospolitej, czy też z powodów społecznych. Dość, że uwzględnić go będziemy musieli. Otwarte pytanie zostaje, czy na wszystkich kopalniach i w jakiej mierze.

I oto otwiera się piękne pole do pracy dla naszych instytucyj finansowych, których zadaniem będzie przeprowadzenie podziału grup udziałowców i zatrzymanie dla nich pewnego zapasu udziałów i stopniowe zbywanie tych udziałów celem wyzwolenia utopijnych środków państwowych w przemyśle.

Inaczej trzeba będzie podejść do sprawy huty, inaczej do przędzalni, inaczej do każdego warsztatu, wobec którego staniemy. Wszędzie jednak będziemy musieli przeprowadzać zasadę planowości, określając przedewszystkiem cel wytwórczości, potrzeby, jakim ma ona czynić zadość, określając dalej stopień zainteresowania w warsztacie takich czy innych grup ludności czy instytucyj, uwzględniając sam proces wytwórczości i udział w nim tych czy innych kategoryj pracowników.

Podjęcie tego rodzaju pracy, do której odrazu zostaną wciągnięte pośrednio czy bezpośrednio całe rzesze ludności pracującej — to jest zapoczątkowanie przebudowywania się społecznego. Na przykładzie żywym ludność pocznie się uczyć zasad nowego ustroju, zasad planowania i planowości, zasad współdziałania i współpracy poszczególnych czynników. I tu wracamy do myśli rzuconych przez dra Korpałę, których urzeczywistnienie znajdziemy jedynie i wyłącznie w pracy twórczej. I dobrze byłoby zacząć tę pracę od Górnego Śląska, od ziemi najbardziej uprzemysłowionej, najwyżej posuniętej pod względem cywilizacyjnym — od obszaru najbardziej jednolitego pod względem narodowym, a przecież równocześnie najbardziej opanowanego przez obcy kapitał.

Wspomnienia z lat dziejowego przełomu

Melchior Wańkowicz

„Związek Broni"

II.

Sztabskapitan Matuszewski, to oficer bojowy wielkiej klasy, wielokrotnie ranny. Znamy się z czasów szkolnych.

Teraz jedziemy bryczką do poszczególnych oddziałów. Metodą dawnych dyskusyj sztubackich dyskutujemy „w piramidkę", to znaczy odrzucając raz po raz uzgodnione pojęcia i zwężając przedmiot sporu. Aż kiedy zostaje spory tego tylko cypel, Matuszewski się zamyśla i mówi:

— Nie wiem, dalej już trudno dyskutować. Tu pozostaje kwestja instynktu. Ty pochodzisz z kresów, to zapewne nie czujesz tak jak ja tych, co są w kraju. Oni niewątpliwie nie chcieliby, żeby poza krajem wyrastał czynnik rozstrzygający, nad którym władze obejmą czynniki przypadkowe.

Milknę. Istotnie, gdzie się zaczyna instynkt, tam kończy się dyskusja. Obaj apelujemy do przyszłości. Ta przyszłość stała się teraźniejszością. Były sztabskapitan, obecnie mąż stanu, Ignacy Matuszewski, w „Gazecie Polskiej" drukuje swoje przemówienie ze zjazdu Piotrogrodzkiego i stwierdza, że nie żałuje z niego ani słowa. Ja z tamtych swoich przekonań też nie mógłbym ustąpić piędzi. Widać, że słowa „przyszłość okaże kto miał rację", bywają zawodne.

Słów swoich nie żałuję, przekonań swoich nie żałuję, ale żałuję, że byliśmy tacy młodzi, że mieliśmy taką złą na rewolucyjne czasy szkołę myślenia, szkołę myślenia, odziedziczoną w Organizacji Młodzieży Narodowej w spadku po endecji, pogłębioną przez ostatnie przedwojenne lata rozłamowe, kiedy na głupich swoich głowach dźwigać musieliśmy ciężar rozgrywek programowych, kiedy odcienie ideowe zdawały się przesłaniać świat i groziły, że teraz, kiedy ten świat ociekał krwią, znowu przesłonią czyn zbrojny.

Czułem instynktem, że istnieje typ psychiczny człowieka, który ma łatwość czynu, czynu bojowego, czynu rewolucyjnego, bez głębszych uzasadnień i natychmiast. Takich ludzi było trzeba. Szukałem takich ludzi u eserów Polaków, ale zbyt mnie od nich odrzucało. Swego typu rewolucjonisty, swego typu powstańczego nie mieliśmy na terenie Rosji. Stąd ulga, gdy potem nad nami objęło komendę P. O. W.

Ale do tego jeszcze było daleko. Z dnia na dzień nienaturalny sojusz czynu bojowego z polityką endecką się pogłębiał. Ta polityka wychodziła z założeń antyniemieckich, jedynych, które mogliśmy przyjąć, przygotowując walkę. Ale w temperamencie swoim endecy byli zaprzeczeniem walki. Chcieli rozbudowywać, a nie pogłębiać. Chcieli demonstrować, a nie walczyć. Rozumiałem, że wyjście jest nie tam, nie u nich, nie w sztabach, nie w uzgadnianiu, nie w masie, a w pójściu choćby szczupłym narazie oddziałem w las i rwaniu Niemców. Pojęcia nie miałem, jak to należy robić. Narazie Niemcy nie manewrowali, a trzymali front. Front, czekaliśmy na to, pęknie i ruszy, wówczas nadejdzie czas. Należało pogłębiać gotowość bojową. Z zaendeczoną psychicznie, zapolitykowaną Ligą Walki Czynnej, o wyższym stopniu konspiracyjnym A. P. (Armja Polska) nie było można nic zrobić. Liga była formowana doraźnie, pod kątem zyskania sojuszników przy głosowaniu na Zjeździe Piotrogrodzkim. Na zjeździe nie byłem ani jako członek, bo nie byłem w rosyjskiem wojsku, ani jako gość, bo się leczyłem od postrzału. Teraz należało tę Ligę rozwalić.

Po usunięciu pułkowników i wyższych wojskowych i polityków została nas garstka. Przeważnie oemenowcy. (Organizacja Młodzieży Narodowej). W tem środowisko kijowskie silnie zendeczone i pono już organizacyjnie wyeliminowane, (piszę „pono", bo nie brałem udziału w życiu organizacyjnem). A wogóle całe środowisko mające wiele mniej tak potrzebnej teraz rewolucyjności w sposobach działania, niż młodzież postępowo niepodległościowa, mająca tradycje P. P. S. Nie był to najodpowiedniejszy materjał, ale politycznie nastawiony na bezkompromisową walkę z Niemcami, rzetelnie uczciwy, ofiarny.

Na Zacharzewskim Pierełku pod Nr. 8 zawiązaliśmy nową konspirację, tę którą wlelismy następnie w całości do P. O. W. — Związek Broni i wyższy jej stopień — Koło Rycerskie. Ta nieco napuszona nazwa wyższego stopnia tłomaczy się nastrojem chwili: biorąc nastawienie na działanie bezpośrednie, choćby w małej grupie, musieliśmy przygotować elitę organizacyjną na gotowość poświęcenia życia w każdej chwili.

Nie mam ani statutu organizacji, ani żadnych po niej nie pozostało papierów. Gdy to piszę, żona mówi, że pamięta każde słowo przysięgi. Mówi, a ja pod jej dyktando piszę:

Przysięgam na tę Polskę, którą w sercu noszę, że wiary we mnie pokładanej nie zawiodę, prac ani tajemnic organizacji nie wydam, za towarzyszy będę murem stał, a honoru żołnierza polskiego nigdy nie splamię.

Patrzę w przeszłość. Komendanci z ramienia Związku Broni polegli: Komendant 1-ej Dywizji Małagowski w wypadzie z pancerki, komendant 2-ej Dywizji, Zabłocki przy przebijaniu się przez bolszewików pod stacją Usza, komendant 3-ej Dywizji, Litauer przy wysadzaniu mostu w przebraniu za bolszewika pod Smoleńskiem, jego następca, Mosiewicz w więzieniu w Moskwie, gdy już jako peowiak jechał z ludźmi na Murman, (w korpusie były tylko te trzy dywizje), komendant na kawalerję, Romer, rozstrzelany w Iwieńcu pod Piotrogrodem, kędy przekradał swych ułanów na Murman, komendant na artylerję, Karol Wańkowicz, nie „z własnej winy" ocalały, gdy samotrzeć ruszył na bolszewicki karabin przy przebijaniu się do korpusu, potem ciężko ranny w 6-ym pułku legjonowym nad Dnieprem w 1920 r. Wreszcie z trzech członków Komendy Naczelnej Związku Broni Lechnicki cięko ranny w 1920 r., Hubicki, który się przekradał przez Szwecję do Europy i niżej podpisany, który spełnił swój skromny obowiązek przed sądem polowym.

Po krótkiej odprawie, rozjechaliśmy się zakładać nową organizację. Była instrukcja, aby nie poszerzać. Staraliśmy się byle mieć na pułk jednego człowieka związanego przysięgą.

Teraz, kiedy papierki nabrały takiej mocy, Komenda KNJ raz po raz odsyła mi ludzi dla zaświadczenia, że był w P. O. W. Wziąwszy już, że P. O. W. i Związek Broni to to samo — trudno jest te zaświadczenia wydawać. Archiwów żadnych nie ma, a gdyby nawet były, to przecież nieraz ludzie najgorliwiej działali w myśl instrukcyj Związku Broni, a przecież nie byli zaprzysiężani. Teraz się kupią i nie mogą otrzymać zaświadczenia. Krzywda im się dzieje, bo przykładają do nich peowiacką miarkę. Jednak P. O. W. była tajną armją i rejestrowała każdego szeregowca. Związek Broni, stworzony na wzorach konspiracyj petowych i zetowych, był sztabem, był ośrodkiem ideowym. Krzywda się tym ludziom dzieje i coś by na to należało zaradzić.

Zostało nas w Mińsku kilku. Położenie zaostrzało się. Duchonina zabito w sztabie generalnym w Mohilowie. Komendant Związku Broni na 1-szą Dywizję przejeżdżał przez Mohilów następnego dnia. Wówczas jeszcze Korpus nosił szlify wzorowane na rosyjskich, które wkrótce miały być zamienione oznakami trójkątów na lewym rękawie. Małagowskiego korciło nosić szlify rosyjskie, wykombinowali u siebie w kompanji saperskiej błękitne płaszcze i trzepaczki na wzór tych, jakie nosiliśmy w pierwszym roku wojny.

Teraz więc, kiedy go otoczyła rozjuszona banda, udał, że nic nie rozumie po rosyjsku, pokazał na trzepaczki i powiedział: „Portugal".

Istotnie, byliśmy dla bolszewików „Portugal", cudacznem wojskiem.

To się musiało skończyć. Zachodzi między nimi i nami stan wojny. Oddziały nasze są rozrzu-

cone po obszarach gubernji Mińskiej, Witebskiej, Smoleńskiej. Pomiędzy tymi oddziałami znajdują się całe miasta, olbrzymie garnizony, pozostałe po likwidującym się froncie. Do garnizonów tych wpływają coraz nowe zasiłki czerwonej gwardji, formowanej w głębi Rosji. Dławią się od mnogości sprzętu bojowego.

Dowództwo korpusu wydaje rozkaz koncentracji w rejonie Bobrujska. Bobrujsk, jak na potrzeby wojny domowej, jest silną twierdzą i można się w nim długo trzymać. Ale dowództwo same nie wierzy, by rozkaz ten został spełniony. *Morale* żołnierza jest pod psem. Jakżeby mogło być inne, jeśli werbowano go nie pod hasłem walki, a powrotu do kraju, nie pod hasłem ofiary, a wygody?

Związek Broni wytęża wszystkie siły, by koncentracja się udała. Komendanci mają instrukcję iść naprzód, dawać przykład. To wtedy ginie Zdzisław Zabłocki, komendant na drugą dywizję, pragnąc zorganizować kontrakt pod Uszą, gdy podążąca ku Bobrujskowi dywizja natrafiła na rozkręcone szyny i obstawione kulomioty. To wówczas pod Krynkami komendant na artylerję, Karol Wańkowicz atakuje samotrzeć dwa karabiny maszynowe i oba je zabiera, bo oba się zacięły. To w czasie tej koncentracji idzie w ostatniej arjergardzie komendant na 3-ą dywizję Litauer, powstrzymuje napór bolszewików, zostaje przez nich schwytany, gdy wysadza most i rozstrzelany.

Litauer! Trzecia Dywizja!...

Jadę do niej z objazdem ośrodków organizacyjnych Związku Broni jako członek Komendy. Jadę jeszcze w mundurze. W tej zabawnej jeszcze pół wojnie pół pokoju możliwe były takie groteskowe kombinacje.

O trzecią dywizję najbardziej nam szło. Była najliczniejsza. Szło o to, by nie zawagonowywali się, jak druga dywizja, bo to znaczylo wydać się na łup bolszewików. Powinni byli dążyć pochodem do odległego o 400 kilometrów Bobrujska. Był koniec stycznia i wielkie mrozy. Masa rosyjskich oddziałów w drodze. Impreza szalona, ale jedynie możliwa.

Mogli mnie słuchać związkowcy, ale dla dowództwa musiałem czemś się wylegitymować. Otrzymałem papiery z Naczelnego Komitetu Wojskowego i rozkaz dla doręczenia dowódcy Dywizji, gen. Iwaszkiewiczowi natychmiastowego wymarszu.

Przyjechałem do Jelni w Smoleńskiej gubernji, w której była konsygnowana dywizja, wieczorem. Na stacji czekał komendant Związku Broni na III Dywizjon Litauer z kilku związkowcami. Byli zafrasowani, ale twierdzili, że stan psychiczny żołnierza poprawia się z dnia na dzień, że dowództwo jednak tego nie widzi i nie ma dojścia do żołnierza. Zdaniem ich pierwsze strzały, pierwsza krew, znakomicie zmontują *morale*. Zresztą cóż innego można było robić? Ryzyko nie jest ryzykiem, jeśli nie ma innego wyjścia.

Noc spędziłem w macierzystym pułku jedenastym do którego byłem zaliczony i odkomenderowany jako instruktor oświatowy do sztabu. Nikt się tam mną zbytnio nie interesował, bo układanie tabel „instruktor kompanijny instruktorowi bataljonowemu" i t. d. wciąż jeszcze trwało; miałem więc nieskrępowaną możność pilnowania pracy organizacyjnej.

Moja dziewiąta kompanja mieściła się w baraku drewnianym, którego ściany wiały. Piecyk żelazny na środku nie dawał ciepła. Mała lampka naftowa nie przebijała gęstego mroku. Do skostniałych ludzi dowódca kompanji miał pogadankę o... dyscyplinie, o obowiązkach żołnierskich. Ja byłem tu od paru godzin zaledwie, a już mnie wściekłość ponosiła na to kazanie.

Rano przyszedł do mnie Litauer i zabrał na obchód naszych ludzi po pułkach. Stwierdziłem bardzo niejednolity stan psychiczny już nie u żołnierzy, a u naszych ludzi, którzy różnie oceniali sytuację. Nic dziwnego — wszak Związek Broni istniał dopiero od miesiąca.

U generała miałem być o pół do dziewiątej. Wychodząc z koszar ostatniego pułku, natknąłem się na samosąd żołnierski nad jednym z kolegów, który skradł zegarek. Gdy się zwalił w śnieg dostał butem cios w zęby. Na zmięty śnieg rozwarty płat mięsa broczył krwią.

Z tem ostatniem wrażeniem, po tych sprzecznych meldunkach, stawiłem się u generała Iwaszkiewicza, syna powstańca, urodzonego na Syberji, dzielnego i uczciwego żołnierza, ale nie mówiącego niemal po polsku.

Generał zebrał dowódców wszystkich czterech pułków i szefa sztbu, rosjanina Kesslera. Gdy im odczytano rozkaz marszu do Bobrujska, zapanowała cisza. Pytani przez generała, wyrażali powątpiewanie, żeby żołnierz posłuchał rozkazu marszu.

Spojrzałem na zegarek:

— Panie generale, proszę o rozkaz zebrania pułków: 9-go o pół do dziesiątej, 10-go o dziewiątej, 11-ego o pół do jedenastej, 12-ego o jedenastej. Przemówię do nich jako delegat Naczpola, a o dwunastej zamelduję się panu generałowi.

Zebrania pułkowe przeszły nadspodziewanie. Związkowcy mieli polecone natychmiast po skończeniu mego przemówienia intonować „Jeszcze Polska nie zginęła" aby, broń Boże, nie narazić się na dyskusje.

Bezwłocznie po odśpiewaniu jednej strofki, oficerowie wyrywali szable z pochew, krzyczano: „Naprzód! Łączyć się z rodakami! Śmierć czubarykom!"

Nie były to metody parlamentarne fair, ale cóż było robić? Byliśmy pewni, że, raz wyprowadzony w pochód, żołnierz się będzie bić. A wyprowadzić mogło go tylko dowództwo, które należało przekonać.

Kiedy na dwunastą wróciłem na naradę, wiedziało już dowództwo o przebiegu tych zebrań. Mimo to pułkownicy milczeli. Aż rosjanin Kessler zabrał głos i energicznie powiedział, że sprawa jasna, że należy przebijać się do Bobrujska. Widziałem, że gen. Iwaszkiewicz był rad. Powiedział, że ruszy za kilka dni, których potrzebował dla uruchomienia tego przedsięwzięcia.

Na stacji żegnał mnie Litauer. Widziałem go wówczas po raz ostatni. Kiedy pociąg ruszał, machnął ku mnie ręką i krzyknął: „będziemy się trzymać". Przytem potknął się na zaspie i pamiętam, że doznałem bolesnego skurczu.

Istotnie „trzymał się". A gdy w parę dni potem ruszyła dywizja, był przy tej akcji koncentracyjnej, w myśl rozkazów Związku dla komendantów, tam wszędzie, gdzie najniebezpieczniej. Jak komendanci Zdziś Zabłocki pod Uszą, jak Karol Wańkowicz pod Krynkami przed nim, jak Bronek Romer pod Iwieńcem, jak Mosiewicz na Tagance po nim.

Szedł tam, gdzie najniebezpieczniej, to znaczy w arjergardzie, bo bolszewicy dążyli za oddalającą się dywizją. Gdy już zacichł chrzęst na śniegu ostatnich żołnierzy arjergardy, został przy moście pod Smoleńskiem, który miał wysadzić. Ujęty i rozstrzelany. W numerze drugim „Sumienia", organu konspiracyjnego Związku Broni (konspiracyjnego również wobec dowództwa korpusu, Naczpola i innych wielkich tego świata) na pierwszej stronie, poświęconej pamięci Zabłockiego i Litauera, obiecałem, że „głośno kiedyś w kraju powiemy o waszej pracy oddanej".

Upewniwszy się co do II Dywizji, podążać musiałem do Brygady Zapasowej, stojącej w Dorohobużu, odległym o 40 kilometrów od Jelni, aby skłonić ją do połączenia się z gen. Iwaszkiewiczem i wzięcia udziału w tym wiekopomnym przemarszu, który udał się wbrew wróżbom fachowców. Dorohobuż był na innej odnodze kolejowej, mocno już strzeżonej. Wpadłem do Mińska więc przebrać się za rosyjskiego zdemobilizowanego żołnierza i z papierami na imię pisarza wojskowego Michała Wiktorowicza Torwalda wyznania ewangielickiego wyruszyłem. Miałem na głowie ogromną papachę, a na nogach walonki, obszyte skórą. Ponieważ zamierzałem maszerować z brygadą, która nie miała jeszcze Związku Broni, ani komendanta, więc byłem objuczony chlebakiem i innymi utensyljami. Siedziałem w tiepłuszce w tłumie obszarpańców uciekających z frontu, gryzłem siemiczki, cisnąłem się do żelaznego piecyka i bałem się ciągłych rewizji dokumentów, które na każdej niemal stacji przeprowadzali marynarze. Na jednej ze stacji jakiś komisarz odsylabizował mój dokument i spytał?

— Niemiec, znaczy? A jaka profesja?

Niemiec, to nie było nic groźnego. Ale profesja...

— Monter — odpowiedziałem, pokazując ręce pełne odcisków od wiosłowania.

„Mozolistyja ruki" — to była druga pierwszorzędna legitymacja obok okrągłej pieczątki.

Stacyjka kolejowa, od której, jeśli się nie mylę o dziewięć kilometrów był odległy Dorohobuż, była zawalona bolszewickimi oddziałami. Marynarze też stali we wsi napotkanej po drodze. Było jasne, że pętla się zaciska. Przemarznięty na kość w pociągu, leżałem w rozłożystych saniach, licząc minuty i sekundy, które wydłużają się w nieskończoność i oddzielają mnie od jakiegoś ciepłego domu. Po przybyciu zagrzałem się i ruszyłem niezwłocznie do gen. Pawłowskiego, dowódcy brygady. Zameldowałem się jako instruktor oświatowy przydzielony do jego brygady. Nie pamiętam dlaczego, ale zdaje mi się, że tym razem nie miałem rozkazu wymarszu od Naczpola.

Generał bardzo się ucieszył z mego przybycia. Instytucja komisarzy politycznych, przydzielanych przez bolszewików wojskowym specom, odpowiadała wielu dowódcom, którzy z głowy zwalali odpowiedzialność za całą politykę. Gen. Pawłowski wziął mnie widać za coś w rodzaju takiego komisarza, nie miał jednak widać wygórowanych pojęć o roli jaką mam odegrać w oddziale, po moim bowiem płomiennym ekspose o konieczności natychmiastowego marszu do Jelni, o tem, że Jelnia za dwa dni rusza, o tem, że bolszewicy poczynają już otaczać brygadę, odpowiedział:

— Ot, dobrze, że pan przyjechałeś, bo u mnie w piekarni żołnierze chleb kradną. Tak pan ich powinien *urezonić* (opamiętać...).

Lisowi-Kuli, kiedy się zameldował gen. Dowborowi i zaznajomił go z położeniem w kraju oraz z koniecznością przygotowywania się do walki z Niemcami i umacniania opinji korpusu, gen. Dowbór żywo przytaknął:

— Umacniajcie. Ot, żołnierze znów teraz chcą świętować św. Stanisława; tak wpływajcie, coby nie było tyle świąt.

Poszedłem spać. Na drugi dzień obudziłem się z silną gorączką. Poszedłem do szpitala. Szpital był nie wojskowy, ale „ziemski" w którym leżeli i nasi żołnierze i cywile. Po jednej jeszcze nocy dowiedziałem się, że bolszewicy są tuż i nasi żołnierze urządzili wiec. Gorączka wynosiła 39,8.

Przed oknami szpitala widziałem wzburzone tłumy. Ubrałem się w swoje czubaryckie ubranie i wyszedłem. Jeden oficer po drugim, mniejsza o ich nazwiska (są teraz w Polsce) nawoływał do sprucia odznaczeń i rozproszenia się. Pod pozorem, że „krew się przyda ojczyźnie", że należy w pojedynkę przedzierać się do korpusu. Zabrałem głos, mówiłem o Jelni, wskazywałem że trzecia dywizja jest tuż, że główne siły bolszewickie są od strony stacji kolejowej, że lepiej się przebić do Jelni, niż marnieć w rozproszeniu, że najście bolszewików od strony stacji powstrzyma byle kto zdecydowany; wzywałem, żeby takich znalazło się dziesięciu; że ręczę, że w dziesięciu powstrzymamy zbliżanie się bolszewików, nim brygada nie wymaszeruje.

Żadna ręka się nie podniosła. Jeden z oficerów replikował, że przemówienie moje „było jak zgrzyt żelaza po szkle" i cytował górne frazesy ze Słowackiego.

Żadna ręka się nie podniosła. A przecież nie mógł to być inny żołnierz, niż ten, który przed dwoma dniami w Jelni wołał „śmierć czubarykom — idziemy do Bobrujska!". Ale tam miałem związkowców, tu byłem sam i chory.

Wyszedłem z wiecu; jedną miałem chęć — położyć się! za wszelką cenę.

(D. c. n.).

NA MARGINESIE

Symptomatyczna sprawa

Kraków, 15.VII.1936 r.

Znane ostre wystąpienie p. Wicepremjera Kwiatkowskiego w Senacie przeciwko sen. Heiman Jareckiemu i wydawnictwom obozu konserwatywnego, które prowadzą swą propagandową działalność za przetrzymywane należności skarbowe, jeden z dzienników stołecznych określił jako otwarcie „pralni podatkowej". Niewątpliwie taki był sens istotny wystąpienia p. Wicepremjera. Istotnie bowiem — aczkolwiek od 10 lat weszliśmy w erę szeroko w swoim czasie i słusznie postulowanej „sanacji moralnej" — to jednak jakiś złośliwy chochlik sprawił, że od pełnej realizacji tego postulatu jesteśmy jeszcze dalecy. Symptomów nie braknie.

Takim symptomem jest sprawa zaległości podatkowych prasy obozu konserwatywnego.

Sprawy te — z odcinka krakowskiego — przedstawiają się również bardzo interesująco. Podkreślamy jaknajmocniej, że skoro zajmujemy się sprawą podatkową „Czasu", to nie przez jakąś złośliwość lub polityczne animozje. Dookoła tej sprawy zaczynają powstawać najdziwniejsze opowieści. Sprawa niemal z dnia na dzień rozrasta się i wykracza poza krąg zainteresowanych wydawców, właścicieli i przyjaciół pisma. „Vox populi" i vox różnych „wtajemniczonych" przebąkuje o różnych operacjach, które rzucają pewne cienie na różne urzędy państwowe. Ministerstwo Skarbu dało pewne wyjaśnienia, które nie są całkowicie jasne. W odpowiedzi „Czas" ujawnił pewne fakty, które opinję publiczną wprowadziły w zdumienie. Opinja ta dowiedziała się z komunikatu likwidatorów spółki wydawniczej „Czas" w Krakowie, że Dyrekcja Wojewódzkiego Funduszu Pracy, działając w porozumieniu z Izbą Skarbową w Krakowie, wystąpiła z propozycją przejęcia maszyn i urządzeń drukarskich „Czasu" na pokrycie 42 tys. zaległości podatkowych, ściągniętych w swoim czasie w gotówce od pracowników. Poco Funduszowi Pracy te maszyny? Jakie sprężyny działały przy tej tranzakcji? Dlaczego antyetatystyczny „Czas", tak mocno i zawsze występujący przeciwko rozrostowi przedsiębiorczości państwowej, zwiększać ma swemi staremi maszynami i tak już nadmiernie rozrosły państwowy aparat drukarski?

Jak pralnia — to pralnia. Opinja publiczna musi wiedzieć, co jest prawdą w sprawie „Czasu" i jego wyjątkowego do Skarbu Państwa stosunku.

Były, czy nie były różne operacje, o których się mówi pocichu i głośno? Kto jest winien: „Czas", czy urzędy i jak wygląda rzeczywistość?

Rejestrując opowiadane wersje, zapytujemy Najwyższą Izbę Kontroli i Pana Ministra Skarbu, który zresztą sprawy te podniósł publicznie w Senacie:

1) Czy prawdą jest, że Spółka Wydawnicza „Czas", należąca do najzamożniejszych ludzi w Polsce, miała w latach 1929 — 1932 około 18 tys. zł. zaległości z tytułu podatku obrotowego (w drukarni) i że w roku 1934 zaległość ta została prawie całkowicie umorzona?

2) Czy prawdą jest, że „Czas" w Krakowie miał i ma niespłacone zaległości za świadectwo przemysłowe i za podatek od lokali?

3) Czy prawdą jest, że z potrąconych podatków od pracowników „Czas" zatrzymał w swej kasie w ostatnich latach około 40 tys. zł.?

4) Czy prawdą jest, że z tytułu tych zaległości (podatków potrącanych pracownikom) czyniono w „Czasie" wielokrotne zajęcia ruchomości, zawsze bezskutecznie?

5) Czy prawdą jest, że zaległości te za obopólnem porozumieniem kilkakrotnie rozkładane były na niewielkie raty i nigdy „Czas" umowy takiej nie dotrzymał?

6) Czy prawdą jest, że część zajętych przedmiotów wydawnictwo usunęło i wywiozło do Warszawy?

7) Czy prawdą jest, że przyciśnięty do muru „Czas" zaofiarował wkońcu za zaległe podatki różne przestarzałe maszyny, że maszyny te nie zostały poddane fachowej komisyjnej ocenie, a urząd skarbowy mimo to wyraził zgodę na tę tranzakcję w ciągu kilku dni?

8) Czy prawdą jest, że niektóre z tych maszyn „Czas" zabrał następnie do Warszawy"?

9) Czy prawdą jest, że ustawy nie zezwalają na spłatę w naturze obcych podatków zatrzymanych nieprawnie?

10) Czy prawdą jest, że maszyny drukarskie zostały wysłane z Warszawy do Krakowa dopiero w dn. 27 czerwca r. b., a więc po ujawnieniu sprawy w Senacie i że nie nadają się one dla Funduszu Pracy?

Te dziesięć pytań pozwalamy sobie skierować pod adresem N. I. K. i Ministerstwa Skarbu, uważając, że sprawa musi być w interesie publicznym całkowicie wyjaśniona i że nie mogą tu pozostać żadne niedomówienia, obciążające wydawnictwo bądź urzędy państwowe.

Z TYGODNIA

„Swawolny Dyzio" kopie

Na ostro skarcenie ze strony „Gazety Polskiej', wywołane bojowemi, antysowieckiemi pogróżkami „Buntu Młodych" — odpowiada w ostatnim N-rze redakcja „Buntu" zestawieniem głosów sowieckiej „Prawdy", „Robotnika" i „Gazety Polskiej", stwierdzając, że są one „zgodne ze sobą zarówno co do stylu, pełnego epitetów i wyzwisk, jak i co do treści". „Trzydziestotrzyletni młodzieńcy" z „Buntu Młodych" są pewni siebie. Pod adresem „Prawdy" sowieckiej kierują zapowiedź, że „nawet mimo demokratycznej konstytucji prędzej czy później będziemy musieli dobrać się do rosyjskiej skóry". Pod adresem „Gazety Polskiej" zwracają się z zapytaniem: „A kogóż to, jeśli można wiedzieć, reprezentuje Gazeta Polska? — Rząd, który ją konfiskuje? — Społeczeństwo, które ją bojkotuje? — Czy może Redaktora, którego niema?". Jako kierunek swej pracy redakcyjnej „Bunt Młodych" zapowiada: „otwieramy swe łamy dla każdego Młodego Polaka, który jest patrjotą i imperjalistą", przyczem w innem miejscu podkreśla, że „teza zasadnicza wojny zaczepnej i zdobywczej" jest „oczywista dla każdego Młodego Polaka, który nie był wychowany w niewoli".

No, sprawa z tymi Młodymi Polakami nie jest jeszcze tak jasna. Zaś wojowniczość antysowiecka „Buntu Młodych" ma w sobie bezspornie coś niecoś z wojowniczości tych niektórych ochotniczych pułków kresowych z pierwszego okresu wojny polsko-sowieckiej, o których śpiewano: „po rasjątki na Podole pułk... rusza w pole!".

Wojowniczość młodego pokolenia w Polsce sama przez się nie jest w naszej sytuacji rzeczą złą, podobnie jak i poczucie, że w razie konieczności wojny nie jesteśmy w sytuacji Narodu, który ma tylko cele obronne i nic do zyskania. Lecz równocześnie wojowniczość ta nie może mieć cech takiej dziwnej mieszaniny: uczuciowej antysowieckiej krucjatowości i... lekkomyślnego tonu nieodpowiedzialności realnej, jaką produkują od pewnego czasu „wchodzący w lat południe" „młodzieńcy" z „Buntu Młodych".

Zagadnienie gotowości wojennej w sytuacji geograficznej i politycznej Polski — to zagadnienie znacznie poważniejsze, niżeli radosne wymachiwanie nieco papierowemi szabelkami redakcji „Buntu Młodych".

Przykra sprawa

Jest w Polsce sprawa, o której nie można pisać inaczej, jak tylko z pewnem uczuciem wstydu za współczesność: to nieszczęśliwa sprawa kolejki linowej na Kasprowy.

Sprawie tej poświęca sporo uwagi ostatni Nr. „Prosto z Mostu" w artykule p. Jana Jazłowieckiego p. t. „Spusty w dolinę Kasprową".

Artykuł ten w pewnej mierze powtarza dawne argumenty przeciwko budowie kolejki. Argumenty te znane są z prasy wszystkich kierunków politycznych, bo istotnie jednomyślność w oświetlaniu tej sprawy była wyjątkowo duża. W określeniu, że budowa została przeprowadzona przeciwko niemal jednolitej opinji społeczeństwa niema przesady.

Lecz poza argumentami natury zasadniczej i dotyczącemi przeszłości artykuł p. Jazłowieckiego przynosi jeden moment nowy: porusza on sprawę załamania się planów finansowych kolejki.

Załamanie to było przewidywane. Kalkulacja przedstawiona w czasie dyskusji sejmowej przez niezawinionego spadkobiercę dawniej wytworzonego stanu faktycznego, min. Ulrycha, opierała się na przewidywaniu absolutnie jak na stosunki tatrzańskie fantastycznej frekwencji. Jeśli wierzyć głosowi publicznemu w Zakopanem, pierwotne kosztorysy budowy miały zostać znacznie przekroczone. Słowem, sytuacja dzisiejsza ma być bardzo trudna.

Sam fakt, że sytuacja ta w ten sposób wygląda nie byłby jeszcze złem największem. Zmarnowanie paru miljonów złotych, nawet w tak ciężkiej chwili jak dzisiejsza, nawet w obliczu polskich potrzeb i polskiej nędzy — jest czemś, co ostatecznie przynosi szkodę tylko doraźną.

Jednakże, jak słusznie zwraca uwagę p. Jazłowiecki, załamanie się dotychczasowych planów może pociągnąć za sobą zwrócenie uwagi w innym kierunku: albo w kierunku dalszego zdobywania środków państwowych na prowadzenie imprezy, mającej conajwyżej jeden cel: „by gawiedź uczyć luksusu", albo — co gorsze — w kierunku urentownienia kolejki przez porobienie szczególnych „atrakcyj" na Kasprowym, czy w Hali Gąsienicowej". Jedna i druga z tych ewentualności musiałaby napotkać na najostrzejszy sprzeciw w społeczeństwie.

Pan Jazłowiecki całość imprezy kolejkowej na Kasprowy nazywa „hańbą kultury polskiej". Określenie to jest zapewne zbyt silne. Niewątpliwie jednak dzieła zniszczenia Tatr dalej posuwać nie można. Wszelkie próby w tym kierunku musiałyby zmobilizować opinję zainteresowanych czynników społeczeństwa do akcji jak najostrzejszej.

Możliwe niemożliwości

Nietylko w sprawach gospodarczych przeżywamy okres silnych i raptownych nawrotów. Dotyczy to również i zagadnienia wymiaru sprawiedliwości. Rzeczy możliwe i niemożliwe, naturalne i nienaturalne, splotły się dzisiaj ze sobą bardzo silnie.

Sensacją ostatniego tygodnia w tym zakresie był — obok uwięzienia „biskupa" Kowalskiego, a nawet bodajże w wyższym stopniu — proces adwokata Hofmokl-Ostrowskiego. Proces ten, jeden z kilku, zakończył się w pierwszej instancji wyrokiem skazującym na więzienie, utrzymaniem prewencyjnego aresztu, wreszcie odebraniem praw adwokackich na lat dziesięć, co — wobec wieku podsądnego — uważać należy raczej za pozbawienie tych praw dożywotnio.

Dalecy jesteśmy od chęci krytykowania wymiaru sprawiedliwości. Nie byliśmy nigdy entuzjastami metody obrończej podsądnego. Jednakże trudno jest powstrzymać się od zwrócenia uwagi na pewne paradoksy sytuacji.

W długim rejestrze „oryginalnych" wystąpień adwokata Hofmokl-Ostrowskiego na salach sądowych były i takie, które należą do zupełnie „meksykańskich" manifestacyj, jak np. wyładowanie całego magazynu kul w kierunku wezwanego i wprowadzanego na salę sądową świadka. Mimo to do ostatnich tygodni adwokat Hofmokl-Ostrowski cieszył się opinją jednego z najskuteczniej występujących przed sądami obrońców. Ostatnia sprawa sądowa zaczęła się od zawiłego wyjaśnienia czy w danym wypadku ma się do czynienia z uprzednią karalnością, czy niekaralnością oskarżonego. Sama sprawa była — i to chyba każdy ocenia podobnie — w stosunku do zajść poprzednich — nieporównanie mniej jasna, mniej bezsporna, no i chyba mniej znacząca. Jak wiadomo skończyła się wyrokiem bardzo daleko idącym.

I znowu musimy podkreślić zastrzeżenie. Nie chodzi nam o krytykę tego wyroku. Jednakże trudno oprzeć się wrażeniu, że w całości naszego wymiaru sprawiedliwości wytwarzają się jakieś sytuacje paradoksalne. Możnaby powiedzieć, że zgodnie z odwiecznemi wyobrażeniami nasza Temida jest sprawiedliwa, tylko macha cokolwiek naoślep. W danym wypadku z punktu widzenia absolutnej sprawiedliwości możnaby uznać, że nastąpiło jakieś spóźnione wyrównanie. Niezawsze jednak będzie można w ten sposób się pocieszyć.

POLEMICZNA TRYBUNA

Na dnie absurdu

Zamieszczając przed dwoma tygodniami artykulik polemiczny p. Witolda Kosińskiego w sprawie sposobu potraktowania t. zw. „sprawy Brzozowskiego" przez redakcję „Merkurjusza Polskiego", zwróciliśmy w dopisku redakcyjnym uwagę na następujący fragment artykułu „Merkurjusza":

„Pisaliśmy już kiedyś na tem miejscu o Brzozowskim. Zresztą czytelnicy nasi wiedzą dobrze jaką rolę odegrał ten „myśliciel" w t. zw. ideologji t. zw. Młodej Polski. Wiedzą także kim był p. Feldman i jakie znowu miał on zadanie, lansując Brzozowskiego i jego epigonów, aż do szlachetnego człowieka, wielkiego malarza, ale mętnego poety, Wyspiańskiego, włącznie".

Zarówno artykuł p. Kosińskiego, jak nasz dopisek redakcyjny, wywołał obszerną odpowiedź „Merkurjusza Polskiego", której początek zamieszczony został w N-rze 20 z dnia 12.VII.1936, koniec zaś jest dopiero zapowiedziany. Ponieważ część dotycząca artykułu p. Kosińskiego i samej „sprawy Brzozowskiego" nie jest jeszcze skończona, zajmiemy się tutaj tylko poruszonym w naszym przypisku redakcyjnym, a wyczerpująco już omówionym w N-rze 20 „Merkurjusza", fragmentem dyskusji, dotyczącym „Młodej Polski", Feldmana i Brzozowskiego.

W naszym komentarzu z przed dwu tygodni stwierdziliśmy, że w powyższym fragmencie należy dostrzec albo „brak elementarnych wiadomości, albo wyjątkowe niechlujstwo pisania". Inaczej trudno wytłumaczyć pisanie o Wyspiańskim, jako o epigonie Brzozowskiego, gdy niemal cała twórczość Brzozowskiego przypada na lata po śmierci Wyspiańskiego, o lansowaniu Brzozowskiego przez Feldmana, gdy „stosunek Feldmana do Brzozowskiego był daleki od entuzjazmu", wreszcie podaliśmy w wątpliwość możność pisania o „ideologji Młodej Polski", wobec zasadniczych różnic postawy życiowej, uczuciowej i pojęciowej poszczególnych pisarzy tego okresu literatury.

Nasz komentarz bardzo zdenerwował i rozgniewał redakcję „Merkurjusza". Niezależnie od zasadniczej rozprawy z artykułem p. Kosińskiego, do której ewentualnie powrócimy po jej zakończeniu, redakcja „Merkurjusza" z dużą pasją podjęła dyskusję i z naszym redakcyjnym komentarzem. Dyskusja ta jest tego rodzaju, że zwlekać z udzieleniem odpowiedzi nie można. To też służymy z całą gotowością:

Redakcja „Merkurjusza" przyznaje, że zacytowany wyżej ustęp „sformułowany jest źle". Ale równocześnie stwierdza: „trzeba wiele złej woli, aby ów akapit rozumieć w tym sensie, że autor traktuje Wyspiańskiego, jako epigona Brzozowskiego... Czytelnik dobrej woli nawet błędu w budowie zdania nie zauważy. Czytelnik lojalny zrozumie to przydługie zdanie jak należy. To znaczy, zrozumie, że Feldman dobrze wiedział dlaczego lansował Młodą Polskę i Wyspiańskiego oraz epigonów Młodej Polski".

Chcemy możliwie być lojalni. To też cytujemy dokładnie i obszernie. Nie możemy jednak zgodzić się z twierdzeniem redakcji „Merkurjusza", że zrozumienie zdania tak jak ono jest napisane, a nie w sposób wyraźnie i zdecydowanie różny — ma być wyrazem aż złej woli. Przecież omawiane zdanie nie jest ani niejasne, ani — wbrew obecnemu twierdzeniu redakcji „Merkurjusza" — nie zawiera błędu w budowie: zawiera błąd w twierdzeniu. Błąd ten może być albo wynikiem braku wiadomości, albo niedbalstwa w pisaniu. Tego rodzaju tezy wysunęliśmy. Redakcja „Merkurjusza" potwierdziła drugie nasze przypuszczenie, określając delikatniej, że zachodziło tu „złe sformułowanie". Lecz czemu w takim razie pod naszym adresem wysuwa zarzut aż złej woli?

Lecz przecież nie warto byłoby spierać się i o tego rodzaju odwrócenie i zaostrzenie zarzutu, gdyby istotnie chodziło tutaj tylko o nieszczęśliwe wyrażenie i całość dyskusji sprowadzała się do zagadnienia uzasadnionej, lub nieuzasadnionej krytyki. — Lecz nie — charakter sporu jest zupełnie inny i zasadniczy. Bo oto redakcja „Merkurjusza" natychmiast ze swej strony przechodzi do zdecydowanego natarcia, stwierdzając, że

„Naród i Państwo przemyca w swym wywodzie kilka sugestyj wręcz kłamliwych. Pozwolą tędy panowie, że ich zlekka przycisnę do ściany? Pozwolą Panowie, że zapomocą wyraźnych pytań rozwieję sugestje, jakie czyni ich artykuł? Proszę o odpowiedź: Proszę wyraźnie:

— Lansował Feldman Młodą Polskę, czy nie?

— Usiłował zniszczyć w sercach Polaków wpływ niektórych pisarzy prawdziwie polskich i prawdziwie europejskich, a przedewszystkiem Sienkiewicza, czy nie?

— Czy Brzozowski czynił te same usiłowania? Z furją i pianą wściekłości na ustach zwalczał Sienkiewicza? Czynił, czy nie czynił? Był w tem zgodny z Feldmanem, czy nie? Uderzali razem, czy nie uderzali? Wspólnych mieli wrogów, czy różnych?

— Był Brzozowski filarem Młodej Polski, czy nie?

— Panowie powiadają (niewinne, słodkie duszyczki), że Młoda Polska była tylko zjawiskiem literackiem? „Pewnym okresem w literaturze?" Ejże? Tylko? Nie był to pewien stosunek do całokształtu kultury polskiej? Zdecydowany, czy niezdecydowany?

— Brzozowski nie był może budowniczym zrębów myślowych tego stosunku? Wyciągaczem konsekwencyj? Nie był?

— Czy Młoda Polska nie reprezentowała czasem także pewnego zespołu idei politycznych i społecznych? Czy nie był to zespół wyraźny i łączący mostem właśnie te tak niby sprzeczne „ideowo" mózgi „Młodej Polski"? Proszę o wyraźne zaprzeczenie, panowie, że tak nie było.

— A niech panowie jeszcze zaprzeczą, że ten system myślenia nie bankrutuje dzisiejszemi czasy w przyśpieszonym tempie. Że go małodobny nie chcą ratować za wszelką cenę. Słodkie, poczciwe serca... Oni tak się za Brzozowskim ujmują bez żadnego interesu... Oni tak po sprawiedliwości... Literacka sprawa... nawet się nie domyślają o co chodzi..."

Och! przytoczyliśmy w pełnem brzmieniu tę nagłą erupcję spóźnionej chęci samokształcenia ze strony redakcji „Merkurjusza". Wprawdzie nie poczuwamy się do winy za luki wiadomości w zakresie literatury polskiej u Pana Redaktora. Jednakże cóż mamy robić: jesteśmy „przyciśnięci do ściany", chociaż na szczęście „zlekka". Musimy wobec tego przyjąć narzuconą nam rolę bezpłatnego korepetytora. Będziemy odpowiadali według kolejności postawionych nam pytań: A więc:

— Czy Feldman „lansował" Młodą Polskę?

Naturalnie, temu nikt przeczyć nie myśli. Myśmy tylko przeczyli poprzedniemu twierdzeniu „Merkurjusza", że Feldman specjalnie „lansował" Brzozowskiego. A nie możemy zgodzić się z Panem Redaktorem, by to było równoznaczne. Chyba... że przy błędzie w budowie zdania.

2. Czy Feldman zwalczał Sienkiewicza?

— Nie, Panie Redaktorze, to jakaś pomyłka. Ktoś złośliwy musiał plotek narobić. Feldman był z natury dość łagodny (w przeciwieństwie do Brzozowskiego). O Sienkiewiczu w szczególności wyrażał się przeważnie w sposób najbardziej zasługujący na pochwałę. O Trylogji pisał, że dla społeczeństwa polskiego „stała się tem, czem Homer dla starej Grecji", że „instynkt narodu czuje w niej tętno swojej krwi, wcielenie dawnego temperamentu narodowego" i wiele, wiele innych superlatywów. Język „Krzyżaków" — to „arcydzieło prostoty i siły spiżowej, skonstruowane i odlane ze szczupłych materjałów historycznych i żywej gwary ludu w tyglu niezmiernie wyczulonej polskiej duszy". „Bez dogmatu" — to „arcydzieło analizy" i t. d. Zaś sam Sienkiewicz określany jest przez Feldmana, w ostatecznej syntezie, cytatą ze Słowackiego, jako „boski chorąży", który „chorągiew ducha wyżej stawia", który „jakby nową gwiazdę rodzi" i t. d. Skądże więc to złośliwe przypuszczenie, że Feldman chciał „w sercach Polaków" „zniszczyć wpływ" Sienkiewicza?

— Brzozowski i Sienkiewicz?

*— Czy Brzozowski zwalczał Sienkiewicza? — Nie przeczymy! W dużej mierze tak! Czy czynił to z pianą wściekłości na ustach? — Nie widzieliśmy, nie możemy odpowiedzieć — Czy był w tem zgodny z Feldmanem? — Uderzali razem, czy nie uderzali? — Nie uderzali, bo Feldman, jak wyżej mówiliśmy, ustosunkowywał się do Sienkiewicza inaczej, niżeli Brzozowski. — Wspólnych mieli wrogów, czy różnych? — I wspólnych i różnych. Sam Brzozowski o swoim stosunku do Feldmana pisał: „Jestem i pozostanę przeciwnikiem działalności W. Feldmana" *) („Legenda Młodej Polski"), Feldman oskarżał Brzozowskiego, że swoją późniejszą działalnością pisarską, a w szczególności „Legendą Młodej Polski", oddawał usługi czynnikom reakcji społecznej. Ostrość krytyki Brzozowskiego zwracała się bardzo często przeciwko ludziom i dziełom przez Feldmana wysoko stawianym. W tej sytuacji należy odpowiedzieć, że wrogów raczej mieli różnych, choć, oczywiście, nie może to być przyjmowane jako zasada generalna i bezapelacyjna.*

— Czy Młoda Polska była pewnym stosunkiem do całokształtu kultury polskiej? Zdecydowanym, czy nie?

— Nie rozumiemy zwężającego określenia „pewnym". Jednolitym i konsekwentnym stosunkiem do kultury polskiej Młoda Polska, oczywiście, nie była. Stąd też nie mogła być ani zdecydowanym, ani niezdecydowanym.

— Czy Brzozowski był filarem Młodej Polski? — Czy był „budowniczym zrębów myślowych" w stosunku Młodej Polski do „całokształtu polskiej kultury"? — Czy był „wyciągaczem konsekwencyj?".

— Naturalnie, Brzozowski był najwybitniejszym (sąd subjektywny) umysłem filozoficznym „ówczesnego okresu", był pilnym „wyciągaczem konsekwencyj", „budowniczym zrębów myślowych" i t. d. Całą tę wielką pracę myślową wykonywał w dość ostrej kolizji z otaczającym go światem ówczesnych pisarzy. Stąd też tak łatwo „Merkurjuszowi" dobrać dzisiaj garść złośliwych cytat różnych pisarzy w stosunku do Brzozowskiego. Stąd tak trudno było Brzozowskiemu o zorganizowanie należytej obrony swego honoru i imienia. Sąd Brzozowskiego o Młodej Polsce jest przeważnie dość ostry: — „Miciński skrzętnie gromadzi ten chaos, którego ofiarą pada następnie. Ten stan duszy do pewnego stopnia panuje nad umysłami całej generacji pisarzów Młodej Polski" — oto jest jeden z wyrazów stosunku Brzozowskiego do świata współczesnych mu pisarzy. Reasumując: Brzozowski jest jednym z punktów szczytowych myśli filozoficznej okresu Młodej Polski, lecz nie jest wykładnikiem tego okresu, jest już raczej jego przezwyciężaniem. Może to określenie przyda się dla wyjaśnienia pewnych wątpliwości, Panie Redaktorze „Merkurjusza!".

— Czy Młoda Polska reprezentowała „zespół idei politycznych i społecznych"? —

— Naturalnie, że nie reprezentowała. Reprezentowali je poszczególni pisarze. Natomiast jako całość Młoda Polska reprezentowała zarówno mirjamowskie hasła „sztuka dla sztuki", jak radykalizm narodowy Wyspiańskiego, radykalizm społeczny pewnego okresu twórczości Żeromskiego, czy Sieroszewskiego, ludowość Orkana, ludowcowy - nacjonalizm Reymonta i wiele innych bardzo różnych pierwiastków i haseł. A jeśli tak — to oczywiście tembardziej nie mógł to być zespół „wyraźny i łączący mostem" istotnie sprzeczne ideowo mózgi Młodej Polski.

— Wreszcie, chwała Bogu, ostatnie pytanie: Czy ten system myślenia nie bankrutuje dzisiejszemi czasy w przyspieszonem tempie?

— Nie, Panie Redaktorze, wprawdzie nie można mówić o jakimkolwiek jednolitym systemie myślenia, lecz jeśli chodzi o wpływ pisarzy okresu Młodej Polski, to wpływ ten jest

*) Cytata ta zasługuje na przytoczenie w całości jako ilustracja postawy moralnej Brzozowskiego. Brzmi ona, jak następuje: „Jestem i pozostanę przeciwnikiem działalności W. Feldmana i dlatego, że pragnę zachować prawo bezwzględnej krytyki i analizy względem jego pism, pozwalam sobie tu oświadczyć, że w osobistym moim z nim stosunku i jego zerwaniu rola dodatnia była całkowicie po jego stronie."

wciąż bardzo żywy i (znowu sąd subjektywny) bynajmniej nie zanosi się na jego bankructwo. My nie chcemy przeciwstawiać sobie Sienkiewicza i Wyspiańskiego, jak to czynł „Merkurjusz", mamy dość pakowne serca, by obu uznać za podstawowe czynniki polskiej chwały i polskiej kultury. Lecz gdybyśmy mieli próbować tej brzydkiej konkurencyjnej metody stosunku do poszczególnych pisarzy, to byśmy wskazali tylko na jedno zjawisko: ile miejsca w literaturze krytycznej ostatnich lat zajmuje taki Wyspiański, którego Pan Redaktor tak nisko ceni wraz z jego „chorem rozwichrzonem majaczeniem", jak wciąż jeszcze aktualny jest Żeromski, Kasprowicz, Reymont, a choćby nawet i ten Brzozowski, który bynajmniej nie jest i nie będzie tak szybko zapomniany. Nie, Panie Redaktorze, pisarze Młodej Polski jeszcze pożyją w pamięci Narodu, choćby dlatego, że — jak dotąd — nie tak wiele możemy postawić na miejsce ich dorobku literackiego, myślowego i ideowego.

Dobiegliśmy końca dyskusji. Dobrej woli nikt nam chyba odmówić nie może. Swoją drogą jednak coś bardziej szczegółowego o okresie Młodej Polski radzilibyśmy przeczytać. Książki mają swoją wartość, choć od nich oczy się psują.

A prócz tego jeszcze jedna drobna uwaga. W świecie lekarskim jest pewna słuszna zasada: najważniejsze — nie szkodzić. Dobrzeby było, by w publicystyce taksamo były pewne zasady najskromniejsze: jeśli nie można więcej, to przynajmniej — nie bałamucić.

Nasze zagadnienia mniejszościowe w prasie obcej

Cele i drogi mniejszości niemieckiej w Polsce

(k. g.) W nr. 2 czasopisma „Volk im Werden" za r. 1936 ukazał się ciekawy artykuł, podpisany literami „H.-r." p. t. „Um die deutsche Erneuerung in Polen".

Artykuł dzieli się niejako na dwie części, z których pierwsza przedstawia cele i drogi niemieckich grup zagranicznych na Wschodzie oraz trudności w realizowaniu tych celów, druga zaś zajmuje się bliżej mniejszością niemiecką w Polsce. Tak jedna, jak i druga część artykułu zasługuje na bliższą uwagę, zdradza bowiem pewne teoretyczno-programowe koncepcje i wyjaśnia pewne zjawiska z życia aktualnego.

Jakież zatem są cele niemieckich grup zagranicznych?

Artykuł ujmuje je w następujący sposób:

1) stworzenie socjalistycznej wspólnoty narodowej ponad stany, wyznania i szczepy;

2) zastąpienie dzisiejszych (zastępczych) form organizacji grup niemieckich, zwróconych, jak np. Kościół, do obrony ich interesów przez właściwe formy życiowe, pochodzące z ich łona;

3) takie zorganizowanie się grup niemieckich, aby mogły wykonać swe obowiązki w państwach zamieszkania.

Tu jednak nasuwają się — zdaniem autora — pewne trudności, wynikające zarówno z warunków zewnętrznych, jak i z mentalności i psychiki grup niemieckich.

Ustawicznie jeszcze — pisze autor — zamiast zrozumienia właściwych celów uważa się, że zadaniem grup niemieckich jest branie udziału „w grze parlamentarnej odnośnego państwa"... „w intrygach i korupcjach, koalicjach i dyskusjach w państwie, w którem korzystają z gościny" tak, jakby chodziło o małe, napływowe grupki, których pewne właściwości winny być zgodnie z ideologją mniejszościową chronione, a nie o części ludności państwowej, dawno osiadłej i związanej z terenem, wyrażające niemieckie prawo do Wschodu.

Do tych przeszkód natury wewnętrznej należą dalej chaotyczne pojęcia o narodzie i socjalizmie, czego niema w Rzeszy wobec wodzostwa Hitlera, wysuwanie jakichś specjalnych zadań, które grupy niemieckie mają rzekomo spełnić w poszczególnych państwach, a których — zdaniem ich — nie da się rozwiązać przez kopjowanie wzorów z Rzeszy, tworzenie sobie przez grupy niemieckie jakichś form organizacyjnych dla obrony życia zespołowego od zewnątrz, wreszcie zakusy Wiednia w postaci „politycznego katolicyzmu", którego reprezentantem w Polsce jest dr. Pant na Śląsku.

Przechodzimy do dróg i środków.

Pierwszym warunkiem osiągnięcia wspomnianych celów musi być poznanie przez niemieckie grupy na Wschodzie swego miejsca na tych obszarach, które musi odpowiadać ich historycznym zasługom dla tych obszarów, czy też państw, w których zamieszkują. Dopiero przez takie jasne określenie swej pozycji skończyć będzie można bowiem z niebezpieczną djalektyką: autorytatywne państwo z jednej, a grupa mniejszościowa, mająca prawo do ochrony — z drugiej strony.

Dalszym warunkiem, należącym raczej już do rzędu środków taktycznych, jest nierozbijanie dzisiejszych form organizacyjnych grup niemieckich i niekopjowanie wzorów z Rzeszy. Wspólnota bowiem musi wytwarzać się sama przez się, a wówczas „dopiero" można będzie rozwinąć narodowo-socjalistyczne formy życiowe niemczyzny na Wschodzie i prawnopolitycznie je chronić".

Przechodząc do grupy niemieckiej w Polsce, autor wylicza cztery zasadnicze przeszkody na drodze jej rozwoju i konsolidacji:

1) różne dziedzictwo historyczne;

2) różnice, wynikające z socjologicznej struktury;

3) rozpatrywanie problemów niemieckich z punktu widzenia kulturalno-idealistycznego;

4) słaby przyrost naturalny, lub nawet brak przyrostu, emigracja i polonizacja.

Odmienna historja polityczna poszczególnych odłamów grupy niemieckiej w Polsce wytworzyła wśród nich odmienną psychikę i mentalność. Obok „państwowego" (dziś jeszcze!) nastawienia niemczyzny w Poznańskiem i na Pomorzu mamy materjalizm mieszczański i partykularyzm gminny u Niemców z Kongresówki, co znowu wywołuje u jednych niedostatek sił do własnego narodowego samorządu i przetrwania, u drugich brak narodowego instynktu.

Nie mniejsze są różnice strukturalno-socjologiczne:

Niemczyzna w Łodzi i w miastach z nią sąsiadujących oraz na Śląsku jest przedewszystkiem charakteru robotniczo-najemnego (w Łodzi 72%). Niemczyzna w Lubelszczyźnie, Chełmszczyźnie, Suwalszczyźnie, na Wołyniu i w „Galicji" oraz pozostałe części niemczyzny łódzkiej należą do warstwy małorolnej. Większa własność rolna istnieje tylko w Poznańskiem i na Pomorzu (a Śląsk?). Stan średni tylko w województwach zachodnich oraz szczątkowo w Łodzi i okolicy.

Wynika z tego jednak, że próby rozszerzenia Deutsche Vereinigung na wszystkie odłamy grupy niemieckiej w Polsce nie mają dostatecznego oparcia socjologicznego i że sytuacja Jungdeutsche Partei pod tym względem jest korzystniejsza. „Ważne jest narazie dla niej wrastanie w te warstwy, które przez swoją pracę zdobyły także pod względem gospodarczym wystarczającą siłę odporną w walce narodowej. Młodzież może wprawdzie sama opanować jakieś państwo, poniważ... państwo daje jej potem oparcie, nie może jednak sama przekształcić grupy narodowej, gdyż konieczne jest do tego posiadanie podbudowy w własności i uregulowanie pracy zawodowej. Młodoniemiecki punkt wyjścia jest jednak w całkowitym porządku: socjalizm znaczy dla niego zorganizowanie jednolitej niemieckiej grupy narodowej na terytorjum całego państwa, ponad stany i wyznania".

Kulturalno-idealistyczne rozpatrywanie problemów życia niemieckiego w Polsce miało również swe ujemne skutki. Zwrócono bowiem uwagę przedewszystkiem na obszary bogate z „dumną przeszłością", zapomniano natomiast o innych, jak Lubelszczyzna, Chełmszczyzna, Suwalszczyzna. Punkt widzenia należy przeto zmienić na geopolityczny.

Wielkie szczerby w stanie posiadania grupy poczyniła emigracja, a sprawia je jeszcze dzisiaj niski procent urodzin i polonizacja, która pochłonęła i pochłania najlepsze siły niemczyzny w Kongresówce, wytwarząjąc równocześnie typ pośredni, niezdecydowany pod względem narodowym. Wynaradawianie to należy przypisać przedewszystkiem kościołowi augsburskiemu z generalnym superintendentem Burschem, co musi doprowadzić do kryzysu religijnego.

Nietylko jednak w Kongresówce występują takie egzystencje niezdecydowane. Wyraźnie zarysowywują się one na Mazurach, w południowych powiatach Poznańskiego, na Śląsku i wśród Mazurów na Suwalszczyźnie. Natomiast Kaszubi, jak przyznaje autor, ulegli całkowitej polonizacji. Autor zamieszcza w tem miejscu charakterystyczny komentarz, pisząc: „Wszędzie chodzi o to, że język, poczucie narodowe i państwowe, wyznanie i pochodzenie są ze sobą sprzeczne tak, ze szczepy te pod wpływem historycznych zdarzeń lgną raz do jednej, raz do drugiej strony. Gdyby chodziło wyłącznie o zgermanizowanych Słowian, mogli i musielibyśmy z powodów rasowo-politycznych rozwojowi ku polskości dać wolną drogę. W wielu wypadkach chodzi jednak o dawniej spolonizowane niemieckie odłamy narodowe, których typ rasowy w żadnym wypadku nie odpowiada typowi słowiańsko-polskiemu. Zdecydowanie się grup o nieustalonym charakterze narodowym na jedną z dwóch stron będzie zależało od rozwoju i organizacji narodu. Nie jest to sprawa propagandy, ale historycznego przetrwania".

Wreszcie przechodzi autor do sprecyzowania głównego celu grupy niemieckiej w Polsce i określenia drogi, jaka wiedzie do niego.

Cel ten w ujęciu autora jest podwójny. Po pierwsze: „historyczne przetrwanie, zachowanie i posłannictwo", co brzmi nieco mistycznie, po drugie „zjednoczenie".

Droga natomiast musi prowadzić przez walkę. Walka ta nie powinna i nie może jednak narażać powagi narodu niemieckiego „w oczach obcego". Tymczasem konstatuje autor, że „pod tym względem sytuacja przedstawia się u przeważającej części wschodnio-niemieckich grup narodowych zawstydzająco". Wzywa przeto do wytworzenia spokojnego, świadomego swej siły, a nie „hałasującego" typu, krytykując dotychczasowe metody walk niemieckich w Polsce, które dyskredytują „odrodzenie narodu niemieckiego" wobec Polaków.

Z artykułu powyższego wyciągnąć można kilka praktycznych wniosków: że akcja niemiecka zwróci się do pobudzenia wszystkich odłamów niemczyzny w Polsce gdziekolwiek tylko zamieszkują, że dobrowolnie nie zrezygnuje ona z prób wchłaniania elementów pod względem narodowym niepewnych, że dążyć będzie do zwalczania wpływów kościoła augsbursko-ewangelickiego nawet kosztem rozłamu, że nie rezygnując z walki między-obozowej dążyć będzie do nadania jej form zasadniczych, że Deutsche Vereinigung ma w Niemczech opinję ruchu mieszczańsko-agrarnego z domieszką młodzieżowo-burżuazyjną, w przeciwieństwie do Jungdeutsche Partei i że stąd hasło zjednoczenia niemczyzny w Polsce w ramach Deutsche Vereinigung nie może liczyć na zdecydowane poparcie ze strony czynników niemieckich w Rzeszy.

PRZEGLĄD PRASY

Znowu „Interes Państwa"

Artykuł „Kurjera Porannego", obrazujący rabunkową gospodarkę kapitału zagranicznego w Polsce, nie minął bez echa. Stał się przyczyną innego artykułu, zamieszczonego w „KURJERZE POLSKIM", a będącego gorącą obroną tegoż właśnie kapitału zagranicznego, który — podobno (jeżeli wierzyć Kurjerowi Polskiemu) — nietylko nie rabuje, ale... traci w pracy dla Polski.

Pisze więc „Kurjer Polski", że kapitał zagraniczny nie ma przygniatającego wpływu na przemysł polski, stanowi bowiem zaledwie niecałą połowę ogółu kapitałów, zaangażowanych w przemyśle. Zyski jego są śmiesznie małe, bo jakkolwiek „Kurjer Poranny" pisze o 2 miljardach wywiezionych z Polski zysków — to dobrze poinformowane źródła „Kurjera Polskiego" pozwalają mu stwierdzić, że

„I fakt i suma są kłamstwem. Miljardy te zaczerpnięte są z urzędowej statystyki. Ale co ona obejmuje? Obejmuje obsługę w ciągu 6 lat całego naszego zadłużenia wobec zagranicy. Z sumy tej 844,6 milj. zł. pochłonęła obsługa zadłużenia państwa i samorządu. 1.333 milj. zł. przypada na dywidendy (258 milj.), procenty od kredytów gotówkowych przedsiębiorstw (535 milj.) oraz procenty od kredytów: bankowych, obligacyj, listów zastawnych i innych (540 milj.). Tę ostatnią pozycję należy w każdym razie odrzucić, gdyż wierzycieli tej kategorji nie można nazwać „zagranicznym kapitałem przemysłowym". W rezultacie wysokość obsługi długów zagranicznych przemysłu ulegnie znacznej redukcji, a w ten sposób sakramentalne 1.333 milj., które „Kurjer" uważa za „wycofane" przez kapitał przemysłowy, powinny być conajmniej przepołowione, nie mówiąc o tem, że trudno jest uważać normalną obsługę długów za winę przemysłu".

Zyski kapitału zagranicznego z tantjem i dywidend wynoszą — według „Kurjera Polskiego" — „zaledwie" 400 miljonów w ciągu 10 lat. Po cóż więc tyle hałasu o taką drobnostkę? A w dodatku nikt nie bierze pod uwagę ogromnych strat, jakie ten umęczony kapitał zagraniczny w pracy dla podniesienia polskiego przemysłu ponosi!

„Kurjer Polski" nie ogranicza się jednak do odparcia zarzutów przeciw zagranicznemu kapitałowi; organizuje atak na wszystkich tych, którzy ośmielają się ten kapitał atakować. Woła więc pompatycznie:

„skończyć z tym skandalem zohydzania wielkiego przemysłu",

skończyć, bo to szkodzi interesom... Państwa Polskiego.

Nie omija organ Lewjatana okazji, by nie ukłuć szpilką p. Stpiczyńskiego i p. Rzymowskiego. Pierwszemu wyrzuca, że mimo swego wysokiego stanowiska w Prezydjum Rady Ministów utrudnia rządowi realizację jego zadań(?), tolerując tego rodzaju insynuacje przeciw kapitałowi zagranicznemu w swojem piśmie; drugiego wymazuje ze składu redakcyjnego „Kurjera Porannego".

„Wydaje się bowiem rzeczą nie do pomyślenia, że, gdy podstawowem zadaniem rządu jest walka z komunizmem, aby jednocześnie wielki dziennik pozostawał pod wpływem publicysty, który swemi wystąpieniami zaszczepia jad komunistycznych idei w duszach i umysłach.

Nakoniec zaś pyta:

„Kto więc ponosi odpowiedzialność za to, co pisze „Kurjer Poranny"? Może nikt. Może jest to anonimowa — podobnie, jak artykuły „Kurjera" — samopas puszczona maszyna, która pędzi na przód, siejąc kłamstwem, demagogją i nienawiścią, ku szkodzie najżywotniejszych interesów państwa".

Znowu „interes państwa". I to najżywotniejszy, bo Lewjatana.

Reforma rolna

Zajścia w Krzeczowicach i okolicy skierowały uwagę na przyczyny tego rodzaju konfliktów, występujących ze szczególną siłą na terenie województw południowo-wschodnich.

„KURJER PORANNY" widzi przyczynę w przeludnieniu wsi tej części kraju. Pozatem

„sytuację niezwykle komplikuje krzycząca dysproporcja pomiędzy przeludnioną wsią a licznemi i rozległemi obszarami folwarcznemi, elementarny fakt istnienia znacznych zapasów ziemi obok setek tysięcy nie mających o co założyć rąk zawodowych rolników, odwieczną tradycją związanych z ziemią i przepojonych nieugaszoną, żywiołową tęsknotą do tej ziemi.

Tutaj powraca zagadnienie reformy rolnej, jako środka zlikwidowania obecnego stanu rzeczy.

Ze środowiska właścicieli folwarków i ich ekspozytur politycznych operowano zawsze sugestjami, jakoby sprawa ustroju rolnego w naszem państwie była dyskrecjonalnem zagadnieniem rządu. Jedyne o co zabiegali zawsze, to by możliwie oddalić od sali narad ministrów głos przewidującego rozsądku, który wołał o stopniowe i spokojne zlikwidowanie wskazanych przed chwilą kontrastów w dziedzinie form władania ziemią. Usiłowano utrzymać nieledwie w atmosferze towarzyskiej rozgrywki proces o dziejowej dynamice, przeciwstawiając tradycję potężne gwałtownie rosnącej liczebnie masy chłopskiej.

Tym wysiłkom danem było, niestety, odnosić pozorne sukcesy. Państwo traciło czas, ociągało się z wykonaniem nieodzownej reformy i to traciło go tyleż w okresie rządów sejmowych, co i po przewrocie majowym.

Brak zmysłu rzeczywistości, krótkowzroczna polityka kompromisu, stały się przyczyną dzisiejszej trudnej sytuacji.

W wyniku tych pomyłek stoimy dzisiaj wobec niepotrzebnie zaostrzonego zagadnienia reformy agrarnej. Trzeba zgóry odrzucić wszystkie głosy różnych mądralów na temat, czego przy pomocy tej reformy można dokonać. Zapóźno na deliberacje. Musi ona być dokonana, albowiem nikt rozsądnie myślący nie zgodzi się na polityczne konsekwencje idjotyzmu, by państwo — broniąc ładu prawnego — było stopniowo spychane do roli stróża folwarcznych gospodarstw, podczas, gdy musi ono przyznawać rację chłopom, domagającym się ich parcelacji."

Nowe linje podziału

Katolicki miesięcznik „PRO CHRISTO" zamieścił rozważania p. Konrada Lubicza na temat hymnu narodowego. Autor twierdzi, że obecny hymn narodowy „Jeszcze Polska nie zginęła" budzi wiele zastrzeżeń ze względu na jego tekst oraz skoczną melodję mazurka. Wskazuje pozatem, że

„zarówno literacki jak i muzyczny charakter utworu uniemożliwia wykonywanie go, podczas nabożeństwa, w świątyniach chrześcijańskich, tak jak to czyni się z hymnem o typie modlitewnym (np. angielski „God save — the King", austrjacki „Gott erhalte", albo spomiędzy naszych pieśni chociażby „Boże, coś Polskę" czy „Z dymem pożarów"). W narodzie, który tak jak nasz, od wieków zespala swe najszczytniejsze uczucia patrjotyczne z religijnemi, to pozostanie z hymnem swym przed wrotami kościoła jest zjawiskiem poprostu nienaturalnem, sprzecznem z całą naszą psychiką, całą naszą tradycją.

Wyjściem z sytuacji powinno tu być obranie nowego hymnu polskiego. Autor odrzuca jednak, jako zbyteczne, konkursy organizowane przez P. A. L., zdaniem jego bowiem Polska

posiada własny, dawniejszy, bardziej dostojny wiekową tradycją, niż u któregokolwiek z pozostałych narodów Europy. Hymnem tym jest — „Bogurodzica".

Za przyjęciem tej pieśni przemawia fakt, że

tekst pieśni (a w szczególności dwu pierwszych strof, najdawniejszych, które jedynie w danem wypadku musiałyby być brane pod uwogę) nie zawiera żadnych momentów aktualnych związanych z jakąś określoną chwilą dziejową, która mogłaby się przeżyć, nie budzić u potomnych takich samych reakcyj uczuciowych, jakie wywarłaby u pokoleń poprzednich. Treść pieśni sprowadza się do jednej tylko idei, zato wiecznyście żywej: oddanie Polski pod obronę Świętej Bożej Rodzicielki. To idea niegdy nie traci na aktualności, zawsze jest jednakowo zrozumiała, czy w stuleciu trzynastem, czy w dwudziestem.

Ale nawet autor widzi trudności wprowadzenia „Bogurodzicy", jako obowiązującego w całem państwie hymnu.

Możnaby tutaj zauważyć, że pieśń „Bogurodzica" z natury rzeczy nie nadawałaby się na hymn dla tej części ludności Państwa, która wyznaje religię mojżeszową. Objekcja słuszna, ale zgoła nieistotna, gdyż naprawdę bardzo mało ważną jest rzeczą, jaka pieśń przez ten właśnie odłam mieszkańców Rzplitej byłaby śpiewana. De minimis non curat praetor. Nic nie stoi na przeszkodzie by kwestja hymnu dla tej grupy rozstrzygnięta została w drodze konkursu prasowego, zorganizowanego np. przez „Nasz Przegląd".

Bardzo proste rozwiązanie! Zwłaszcza, że chodzi nietylko o Żydów, ale również szereg innych wyznań, nawet chrześcijańskich.

Podziwiać należy łatwość decyzji autora, który z lekkiem sercem pozwala na swobodne dobieranie sobie hymnu oficjalnego przez każdą z grup mniejszości narodowych i wyznaniowych. Przecież to nawet w szeregach rdzennych, „niekwestjonowanych" Polaków musiałoby wywołać zamieszanie, zakończone powstaniem kilku lub nawet kilkunastu hymnów — a co dopiero mówić o mniejszościach narodowych?

Niema to jednak, jak cudowna „prostota myśli" pewnych sfer!

Książe-regent cofa się

Wywiad ks. Zdzisława Lubomirskiego w „Buncie Młodych" nie wzbudził entuzjazmu w kołach konserwatywnych. Nie można się temu dziwić. Panowie konserwatyści nie mają powodu do radości i dumy, gdy obejrzą swój własny konterfekt, malowany przez jednego ze swoich. A gdyby przyszło spojrzeć na obrazy obojętnych obserwatorów? Strach pomyśleć!

Sławny wywiad wywołać musiał nielada burzę wewnętrzną, skoro prasa konserwatywna wstrzymała się od przedrukowania „wspomnień" księcia-regenta, a sam autor po kilkunastu dniach ogłosił na łamach prasy takie oświadczenie:

„Dochodzi do mojej wiadomości w związku z ogłoszonym wywiadem w „Buncie Młodych" z dnia 25 czerwca b. r., że intencje moje mogłyby być błędnie zrozumiane i interpretowane, tembardziej, że po rozmowach z moimi kolegami zauważyłem, iż mimowoli wkradły się pewne nieścisłości.

Daleką była mi myśl uogólniania krytyki ziemiaństwa, do którego sam należę — i bliskich mi w pracy, a których rolę w służbie dla Państwa doceniam".

Zdzisław Lubomirski m. p.

Wielką wymowę ma fakt ukazania się tego oświadczenia. Znaczy on, że konserwa na gwałt chce zapomnieć o swoich nędzach, by tem jaśniej zabłysnąć blaskami najświeższych pretensyj.

ADRES REDAKCJI I ADMINISTRACJI: Warszawa, Widok 3 m. 33, tel. 609-70. CENA PRENUMERATY: 10 zł. rocznie, 3 zł. kwartalnie, 1 zł. miesięcznie. Zagranicą: 21 zł. rocznie, 6 zł. kwartalnie. Prenumeratę wpłacać można w każdym urzędzie pocztowym: 1) pocztowym przekazem rozrachunkowym na rach. 771, lub 2) — blankietem nadawczym P.K.O. na konto 11144. Egzemplarz pojedyńczy 30 groszy.
Redakcja przyjmuje: poniedziałki, wtorki, piątki godz. 10 — 11, środy godz. 17 — 18. Administracja czynna jest w dni powszednie w godz. 10 — 14.

Wydawca: Tow. Wydawnicze „Kuźnia" Sp. z ogr. odp. Sekretarz Redakcji i Redaktor odpowiedzialny: Adam Andrzejewski

Z. A. Z. G. „Drukarnia Polska", Warszawa, Szpitalna 12, tel. 643-33 w dzierżawie Sp. Wyd. Czasopism, Sp. z o. o.

Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem